

# DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII

Warszawa, 31 sierpień 1952 r.

Nr 35 (353)

Władysław SEŃKO

## Listy świętego Hieronima

**L**ISTY św. Hieronima po polsku\*) należy przyjąć jako wydarzenie zasługujące na szczególnej uwadze. W chwili aktualnego dziś hasła „powrotu do źródeł chrześcijaństwa” cieszy nas każda pozycja, która pomaga nam wnikać głębiej w sens naszej kultury, a twórczość św. Hieronima, który obok św. Augustyna na zaważył, choć w inny sposób na ukształtowaniu się myśli chrześcijańskiej, jest nam szczególnie bliska.

**Z** postacią św. Hieronima kojarzy się najczęściej obraz uczonego i pustelnika. I słusznie. Uchodzi on bowiem za największego uczonego starożytności chrześcijańskiej i jest jednocześnie jednym z najżarliwszych mnichów, jakich zna historia. W czasie kiedy godność biskupa i stanowisko w kościele było już tak wysoko cenione i pożądane w świecie, rezygnuje on z każdej kariery duchownej i potrafi wyzbyć się wszelkich światowych przywiązań oprócz zamilowania do naukowych dociekań i sztuki pięknego pisania.

Uczony i mnich — te dwa określenia wytwarzają wokół postaci Hieronima atmosferę pewnej niezwykłości, która nas pociąga, nastrój wzniosłej powagi, który utrzymuje nas w należnym dystansie wobec jego hieratycznej powagi. Patrząc na obraz El Greco wierzymy, że to właśnie czcigodny autor Wulgaty i chrześcijańskiej historii literatury (*De viris illustribus*) — nie dziwi nas jego tytuł „Princeps exegetarum”, za którym stoi ogromna liczba homilii i komentarzy do Pisma Św., nie będziemy jednak oczekiwać od tego świętego jakichś poufniejszych zwierzeń czy dzieł bardziej osobistych. A jednak św. Hieronim zostawił nam swoje „Confessiones” — wyznania o swojej trudnej drodze do Boga, niepowodzeniach i upadkach, obraz swojej wielkiej pracy i indywidualności. Te „wyznania” to właśnie Hieronimowe Listy.

**L**EKTURA Listów nasuwa przypuszczenie, że Hieronim nie miał wrodzonych skłonności do pustelniczego życia ani kontemplatywnego usposobienia cechującego na ogół mnichów. Decyzja usunięcia się od życia, którą powziął po studiach odbytych w Rzymie, ma w sobie coś z wyzwania rzuconego własnej osobie. Opanować gwałtowny temperament, narzucić karby nieokiełznanym instynktom, skierować je na drogę wypełniania rad ewangelicznych.

Hieronim podobnie jak i Augustyn przeżył bolesną świadomość własnego upadku. Ów gorliwy obrońca czystości i propagator dziewictwa wyznaje w Listach, że sprawa zachowania czystości jest mu tak bliska, ponie-

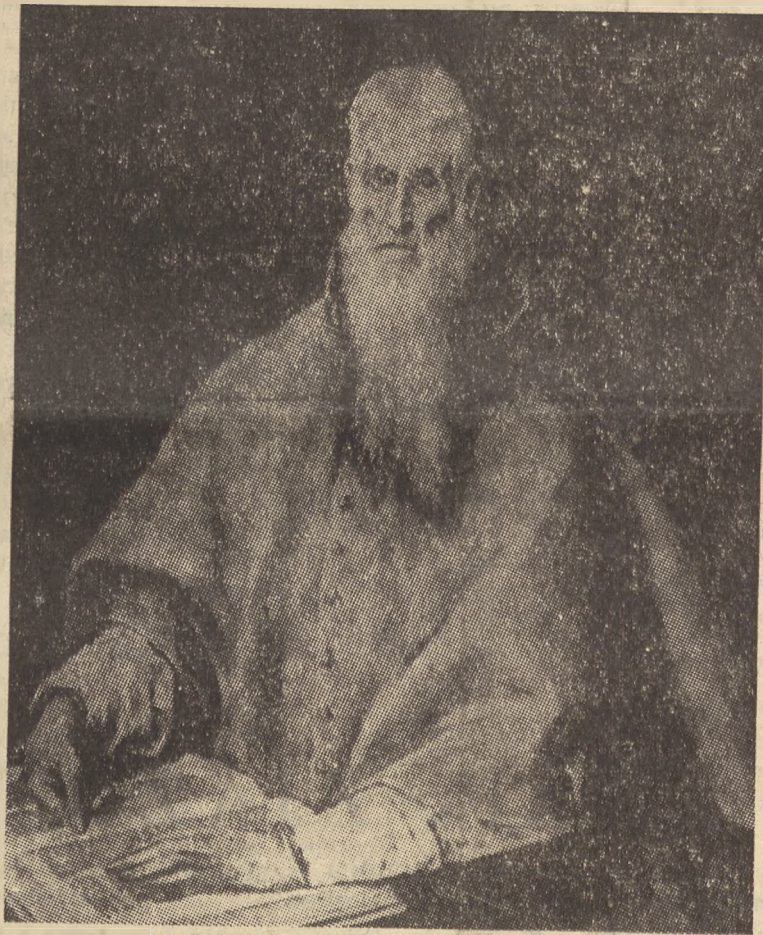
waż on sam sprzeniewierzył się tej cnotcie i z goryczą wyznaje, że wysławia to, czego sam nie posiada. Decyzja służenia Bogu na pustyni musiała przyjść nagle. Na gwałtowność odpowiada Hieronim gwałtownością — ognie wewnętrzne i swój temperament chce ujarzmić samotnością i postami.

A nie przychodziło to początkowo łatwo. „O, ileż razy — wyznaje — mnie samemu przebywającemu w tej samotni na rozległej pustyni, która spalona za rem słońca użycza mnichom okropnego schronienia zdawało się, że jestem wśród rozkoszy rzymskich. Siedziałem sam jeden, ponieważ byłem napelniony goryczą. Wzdrygały się członki przed niekształtnym workiem, a brudna skóra przybrała kolor etiopskiego ciała. Codziennie lzy, codziennie westchnienia, a jeśli mię, mimo że się wzdrygał, opadł nagły sen, kładłem ledwie trzymające się kości na gołej ziemi. Otóż ja, który z obawy przed piekłem do browolnie skazałem się na takie więzienie, mając za towarzyszy jedynie skorpiony i dzikie zwierzęta, często przebywałem w towarzystwie dziewcząt. Bładły mi usta z postów, a umysł gorzał pożądaniem i w umarłym już prawie ciele kotłowały się tylko żądze” (L. 22,7).

Drugą pasją Hieronima, obok sprawy świętości, była nauka. Wyjeżdżając na pustynię nie ominiął zabrać zgromadzonej w Rzymie biblioteki. Mógł zrezygnować z wielkomięjskich wygód, ale nie z Plauta i Cicerona, których początkowo gorliwiej czytał niż Pismo Święte.

Nie była to jednakże zwykła ustępliwość wobec własnych upodobań. I w tej dziedzinie stawał sobie Hieronim cele dalekie od oportunizmu i gnuśności. Z czasem, gdy nad Plautem i Wergiliuszem wzięło górę Pismo Święte, postawił sobie Hieronim za zadanie poznanie języka hebrajskiego — klucza do Starego Testamentu, który wszystkim Ojcom Kościoła Zachodniego i przeważnej większości Wschodniego dostępny był tylko w przekładzie. Studia nie szły lekko. „Oddałem się — pisze Hieronim do Rusty-

ka — na naukę pewnemu bratu prozelicie, aby po bystrych wywodach Kwintyliana, po płynności Cicerona, powadze Frontona i łagodności Pliniusza uczyć się alfabetu hebrajskiego, zastanawiać się nad głoskami syczącymi i przydechowymi. Ileż tam włożyłem pracy, ile podjąłem trudności, ile razy zwątpilem i z chęci uczenia znów zaczynałem; świadkiem co wycierpiałem jest



El Greco — Św. Hieronim

tylko moje sumienie, jako też ci co ze mną wtedy wędli życie. I dzięki czynię Panu, że z gorzkiego nasienia uczenia się języka słodkie dziś zbieram owoce”

Zelazna wola i piętujące się trudności wewnętrzne — oto obraz życia Hieronima i jego trudna droga świętości, jakże różna od drogi Augustyna, który znalazłszy Prawdę — znalazł jednocześnie spokój i ukojenie.

**W**YTRWAŁOŚĆ i pracowitość wydały wspaniałe owoce nie tylko w dziedzinie moralnej, ale i w dziedzinie twórczości naukowej. Tłumaczenie Pisma Świętego na język łaciński to korona prac Hieronima i dzieło jego życia. Cóż jednak mówi dzisiejszemu człowiekowi fakt, że polskie tłumaczenie Pisma Świętego opiera się zasadniczo na Hieronimowej Wulgacie? Sprawa wydaje się na pozór prosta. Hieronim tłumaczył z hebrajskiego, my przekładamy z łaciny. Oto cała różnica. Patrząc na wykończone dzieło trudno doszukać się innych różnic i gdybyśmy tylko z nim mieli do czynienia, nie moglibyśmy bez specjalnego przygotowania uświadomić sobie o-

gromu pracy tłumacza i wagi dokonanego dzieła. Weźmy jednak do ręki Listy. Nawet po przejrzaniu jednej kwestii egzegetycznej, no-krytycznej ujawni się zasadniczy problem. W czasach św. Hieronima istniały już łacińskie tłumaczenia Pisma Świętego, a niektóre zdobyły sobie nawet powagę i uznanie wśród wiernych. Przekłady te różniły się często dość znacznie między so-

ba a w miarę, jak zanikała różnorodność języka greckiego, a co za tym idzie — możliwość stałego kontrolowania przekładu z oryginałem, zabiegała potrzeba ustalenia jednego tłumaczenia, opartego na tekście oryginału. Hieronim podjął się tej pracy, a że nie pozostała ona bez echa wśród wiernych, miał Listy, gdzie często musiał się on bronić przeciw zarzutom, że odważył się „wbrew powadze starych tłumaczy i opinii całego świata” zmienić pewne miejsca w Ewangeliach. W Listach pokazuje nam Hieronim swoją metodę analizy tekstu — swój warsztat pracy. Da-

ją nam one możliwość zobaczenia trudnej dziedziny egzegezy krytycznej Pisma Świętego — dziedziny niezupełnie jeszcze przeoranej przez naukę. Do dziś istnieją niewyjaśnione miejsca krytyczne, wiele też zachodzi różnic między Wulgatą a tekstem oryginału. Świadczy o tym np. fakt, że w ostatnich czasach powstał nowy przekład Psalmów z języka hebrajskiego, zastępując dawne łacińskie tłumaczenie. Dziś, kiedy zainteresowanie Pismem Świętym wśród społeczeństwa katolickiego wzrasta, Listy Hieronima z pewnością ukażą nowe perspektywy w tej dziedzinie.

**T**RZEBA podkreślić jedną cechę Listów. Nie mają one w sobie nic z „akademickich” rozpraw. Pisane, a ściślej dyktowane jako odpowiedź na zapytania, jako obrona własnych poglądów czy zbijanie obcych, są żywym obrazem umysłowości i temperamentu Hieronima. Przelat on w te Listy nie tylko swoją wielką wiedzę, ale całą gwałtowność swego charakteru i wielki talent krasomówczy. Wystarczy choćby przeczytać list: O najlepszym rodzaju tłumaczenia — tę rozpra-

wę na temat metod przekładania, gdzie tyle jest nowoczesnych i aktualnych myśli, by przekonać się, jak daleko im do suchych i nużących wywodów. Św. Hieronim mówi o Listach św. Pawła, że gdy je bierze do ręki, nie słowa słyszy, lecz gromy. To samo można powtórzyć wiernie o jego własnych. Listy są nasycone pierwiastkiem osobistym, mimo, że poświęcone są przeważnie ogólniejszemu zagadnieniu. Bo też list według Hieronima powinien łączyć w sobie cechy prywatności i powszechności. Jest on przecież zasadniczo narzędziem porozumiewania między ludźmi, zastępuje osobę nieobecną, ma być niejako znakiem wewnętrznej z nią łączności i przyjaźni. List to rozmowa z przyjacielem — ale rozmowa na określony interesujący temat. Dla Hieronima taką „solą” rozmowy było Pismo Święte: analiza tekstu i zachęta do wypełniania jego wskazań. Nie brak jednakże w Listach i innych zagadnień. Problemy teologiczne i moralne, które nurtowały umysły współczesnych, znalazły w nich dostateczny wyraz. Wiele napotkamy tam również rysów obyczajowych. Hieronim co prawda nie bawi się w kronikarza, jest raczej reformatorem. Grzmi przeciw zepsuciu i zbyt komarom osobom świeckim jak i duchownym, kreśli w sposób świetny i pełen zjadliwego humoru postacie i typy zdeprawowane, daje niekiedy obrazy ze znakomitą psychologiczną interpretacją. Niech przytoczony fragment, posłuży za przykład:

„Wstyd mówić o częstości wizyt, które sarni składamy spiesząc do innych albo przyjmujemy oczekując odwiedzających, wśród nich płyną słowa, miele się językiem, szarpie nieobecnym, opisuje cudze błędy... oto czym się sycimy i czego sobie nie odmawiamy. Gdy zaś przyjaciele odejdą, zestawiamy rachunki. To gniew nakłada nam maskę lwa, to próżna troska frasuje się na przód na wiele lat i nie pamiętamy, co mówi Ewangelia: „szaleńcze, tej nocy zażądają duszy twej od ciebie, a to coś przygotował czyjeż będzie...” A tam gdzie czeka jakaś korzyść, tam szybszy krok, prędsza mowa, baczniejszy słuch, jeśli — jak to się często w sprawach rodzinnych zdarza — przyjdzie wiadomość o stracie, smutek przygnębia nam oblicze. Cieszymy się na widok większej monety, smucimy na widok obola. Gdy przeto tak zmienne bywa w jednym człowieku oblicze usposobień, prosi prorok Pana mówiący: Panie w mieście tym obraz ich zniwecz. Gdy bowiem stworzeni jesteście na obraz i podobieństwo Boże nakładamy na siebie bardzo wiele masek naszej ułomności. I jak na scenie teatru jeden i ten sam aktor raz odgrywa silnego Herkulesa, to znów zniewieściałą

(Dokończenie na str. 4)

\*) Ukazały się w tłum. ks. prof. Jana Czujka. T. I. PAX. Warszawa 1952.



## Doroznawiajmy...

Szanowny Panie K. Y.

OB DARZYŁ nas Pan obszernym listem, polemizującym z artykułem „U progu dziewiątego roku” z numeru z dnia 20.VII br. Dziękując uprzejmie za kulturalny ton polemiki, jak i za zawarte w niej życzliwe uwagi pod adresem artykułu, czuję się w obowiązku zając się dość szczegółowo Pańską wypowiedzią. Myślę, że jest ona bardzo charakterystyczna dla środowiska, które określiłem cytowanymi przez Pana słowami: „słyszmy... wokół charakterystyczne dla pewnego środowiska bladolenie, nad warunkami naszego życia, wdychanie do „dawnych, dobrych czasów”...

Nie chodzi mi tu o żądną złośliwość. Bynajmniej. Istotą tego bladolenia, o którym wspominałem, nie zawsze musi być narzekanie na nielubiane trudności, braki, przykrości. Nie, może ono być tak samo dobrze spowodowane uporczywym niezrozumieniem rzeczywistości, w której dziś żyjemy. List Pana właśnie dowodzi mi jasno, jak wiele nieporozumień oddziela nas jeszcze od siebie. Będę próbował niektóre z nich tu wyjaśnić.

Sygnalizuje mi Pan wiele różnych drobnych bolączek życiowych — analizuje Pan cenę śledzi, politykę cen dla wolnego handlu i dla towarów reglamentowanych, brak w handlu niektórych towarów pierwszej potrzeby, jak wylicza Pan: gwoździe, agrafki, pluskiewki, spinacze. Porusza Pan wiele podobnych jeszcze spraw, na które trudno mi odpowiedzieć z miejsca, gdyż przyznaje się, nie jestem w tej dziedzinie fachowcem. Bez trudu mógłbym oczywiście wiele spośród tych szczegółowych spraw wyświetlić: czy zastanawiał się Pan na przykład kiedyś, jak wielkie musi być dziś zapotrzebowanie na gwoździe, w dobre tak wielkiego rozmachu w budownictwie? Czy nie przyszło Panu do głowy, że nasza produkcja, zwielokrotniona od przedwojny, może jednak mieć trudności w nastarczeniu zapotrzebowaniu? Czy Pan wie o tym, że przed wojną, w momencie szczytowym naszych możliwości budownictwo przemysłowe sięgało najwyższej sumy 12,5 milionów metrów sześciennych, gdy dziś wynosi 123 miliony metrów sześciennych. Czy nie przyszło Panu do głowy, że przy tego rodzaju fantastycznym wysiłku inwestycyjnym, przy wzmószonym zapotrzebowaniu ludności na wszelkie towary — nasza gospodarka może istotnie mieć trudności w dostatecznie szybkim zaspokojeniu rynku? Nie ma zresztą żadnej pewności, czy istotnie sygnalizowane przez Pana braki wynikają z niedoścignięcia właśnie produkcji, a nie miedzy innymi i niedoświadczoności aparatu rozdzielczego? Pan tymczasem w sposób bezapelacyjny stwierdza: „winna temu polityka normowo-premiowa. Wyrabia się rzeczy mniej potrzebne, gdyż tych mało potrzeba do wyrobienia normy...” Wybacz Pan, ale to doprawdy nonsens. Plany produkcji dla przemysłu nie układa ani majster, ani nawet sama dyrekcja, lecz są one synchronizowane w oparciu o szczegółową analizę potrzeb gospodarki narodowej i może Pan być spokojnym, że polityka normowo-premiowa pomaga tylko w przekraczaniu planów, nie zaś w deorganizowaniu produkcji. Sama argumentacja jednak dowodzi, iż nie starał się Pan dotąd zrozumieć nowego oblicza gospodarczego naszego kraju, a sądzi Pan o całości w sposób najzupełniej nie trafny w oparciu o przypadkowe za uważone szczegóły. Do tych zresztą spraw szczegółowych, poruszonych przez Pana, powróćmy jeszcze raz na łamach naszego pisma, ograniczam się więc tu tylko do ogólnej oceny.

Istotny jest klimat Pańskich zarzutów — sprowadza się on według pańskich własnych słów, do braku zaufania do państwa. Pyta się Pan „komu państwo służy”? Niech się Pan sam zastanowi nad tym prostym pytaniem. Dla kogóż buduje się fabryki, huty, kopalnie? Przecież one nie mają prywatnych właścicieli, ani w kraju, ani zagranicą. Ich produkcja służyć może tylko społeczeństwu. Maszyny idą do rolnika, dla produkcji materiałów włókienniczych, dla budowania i zaopatrzenia innych fabryk. Nikt nie jest zainteresowany w przetrzymywaniu, czy odebraniu społeczeństwu owoców tej produkcji.

Równocześnie budujemy szkoły, szpitale, utrzymuje się personel lekarski, nauczycielski, odbudowuje się zabytki, wznosi się dzielnice mieszkalne, wypłaca się stypendia szkolne i uniwersyteckie, łożą się znaczne sumy dla pobudzenia twórczości naukowej i artystycznej. Przecież środki na cele inwestycyjne i dotyczące konsumpcji o charakterze zbiorowym, osiągnięte dzięki stałemu wzrostowi dochodu narodowego, państwo mobilizuje poprzez swą politykę finansową, obejmującą płace, ceny i podatki, która w większej lub mniejszej mierze obciąża dochody indywidualne.

Pan jednak chwali osiągnięcia, cieszy się Pan z nich, ale kosztą Pana drażnią, zaś związku między jednym a drugim nie dostrzega Pan w ogóle. Na tym polega nieporozumienie. Wróćmy jeszcze raz do tego tematu w następnym liście.

W. K.

## „LE MONDE” I „TIMES” O „PAKCIE PACYFIKU”

W ŚRÓD powodzi banalnych komentarzy i usługowych artykułów jakimi przeważa część francuskiej prasy powitała wyniki konferencji w Honolulu wyróżnia się ciekawa wypowiedź paryskiego „Le Monde”. Dziennik ten jest rzecznikiem interesów wielkiego przemysłu francuskiego i finansowany jest przez francuski kartel stali, t.zw. „Comité des Forges”.

Artykuł wstępny „Le Monde” z 8.VIII.1952 analizuje ten nowy przejaw imperialistycznej polityki Stanów Zjednoczonych na Pacyfiku, specjalnie podkreślając fakt pominięcia Wielkiej Brytanii. Według bowiem ostatniego komunikatu ogłoszonego przez t.zw. „Radę Pacyfiku” czyli „A.N.Z.U.S.”) nie przewiduje się narazie przyjęcia innych państw do paktu. Francuski dziennik tak tłumaczy ten nowy cios dla prestiżu Wielkiej Brytanii:

„Brytyjska opinia publiczna dotkliwie odczuła brak reprezentacji Anglii w Honolulu. Wielka Brytania posiada bowiem bardzo liczne interesy na Pacyfiku. Traktat zawarty przez Australię i Nową Zelandię ze Stanami Zjednoczonymi jest pierwszym wypadkiem w historii by brytyjskie domnia zawierały jakiś pakt z obcym mocarstwem bez współudziału Anglii.

Sprawa jest niewątpliwie mocno drażliwa a wyjaśnić ją może tylko jeden brutalny fakt: — mianowicie, podczas ostatniej wojny, to nie siły brytyjskie ale właśnie lotnictwo i marynarka Stanów Zjednoczonych obroniły Australię przed japońską inwazją. Nauczono doświadczeniem Australia i No-

1) Inicjatywa trzech państw—sygnatariuszy „Paktu Pacyfiku”: Australia, New Zealand, United States.

wa Zelandia, jakkolwiek pozostają nadal członkami Brytyjskiego Commonwealthu, podporządkowują się wojskowo i politycznie silniejszemu partnerowi.”

Londyński „Times” stara się nie podzielać złego humoru całej prasy brytyjskiej i usiłuje — co prawda dość niefortunnie — uzasadnić powody pominięcia Wielkiej Brytanii przy obradach na Pacyfiku.

„Nie można — pisze dziennik — porównywać wyników konferencji w Honolulu z Paktem Atlantyckim. Wprawdzie, nie tylko Anglii uskarża się na fakt, że nie została zaproszona do „Rady Pacyfiku”. Różnice wynikające z samej natury rzeczy spowodowały, że zamiast jednego wspólnego paktu, do którego weszło czternaście państw zachodnich, Stany Zjednoczone wołały zawrzeć oddzielnie traktaty wzajemnej pomocy z Japonią, Filipinami, Australią i Nową Zelandią, nie mówiąc już o „gwarancjach” dla Formozy, czy pomocy dla Francuzów w Indochinach.

Sytuacja geograficzna i polityczna a także oblicze narodów zamieszkujących obszary Pacyfiku są różne niż w Europie. Europa jest blokiem kontynentalnym i dość jednolitym. Na Pacyfiku zaś żyją narody wyspiarskie, oddalone od siebie wielkimi przestrzeniami i których nie łączy. I tak, Indonezja chce być neutralna w konflikcie jaki przeciwstawia Amerykę Chinom. Ludowym Australii nie ma najmniejszego zamiaru sprzymierzać się z Japonią, która nadal pozostaje dla niej niebezpieczna ze względu na jej parcie demograficzne. Wydaje się, że pakt ostatnio zawarty przez Stany

Zjednoczone z Australią i Nową Zelandią miał na celu uspokojenie tych państw, niezadowolonych z traktatu z Japonią.”

Tak to pociesza się „Times” robiąc przysłowiową „dobrą minę do złego gry”. Konkluzja jednak cytowanego artykułu jest bezlitosna w swoim logicznym obnażeniu faktów stwierdzających, że Wielka Brytania nie zyskuje nic a ryzykuje bardzo wiele przy tworzonej obecnie sytuacji. Z drugiej strony, „Le Monde” bez ogródek pisze o bezużyteczności i zbędności istnienia „Paktu Pacyfiku”

„Jakkolwiek Wielka Brytania — kończy swoje rozważania paryski dziennik — znajduje się na liście tych państw, które kiedyś, być może, zostaną dopuszczone do „Paktu Pacyfiku” to w każdym razie będzie nieuchronnie zmuszona włączyć udział w każdym zbrojnym konflikcie, który może wybuchnąć na wspomnianych obszarach. Zagra ona wówczas tę samą rolę jaką przypadła wojskom australijskim i nowozelandzkim w obu wojnach światowych.

Jedynym podobieństwem między paktem Atlantyckim a „Radą Pacyfiku” jest to, że w jednym jak i drugim wypadku Stany Zjednoczone zajmują pozycję nadrzędną. Narazie jednak trzy państwa reprezentowane w Honolulu mają ograniczone zadanie, mianowicie organizację obrony przeciwko wspólnemu wrogowi. Ten ewentualny nieprzyjaciel pozostaje jednak w dalszym ciągu zupełnie nieokreślony jako, że ani Związek Radziecki ani Chiny Ludowe nie mają ani możliwości ani chęci zaatakowania Sydney lub Wellingtonu (2)”

1) Wellington — stolica Nowej Zelandii.

### NOTATNIK POLITYCZNY

W IADOMOŚĆ o zwołaniu na dzień 5 października b. r. pierwszego po wojnie Zjazdu WKP(b) wywołała szeroką falę zainteresowania w całym świecie. Ogólnie przecież znany jest fakt, że wszystkie kolejne zjazdy WKP(b) stanowiły reżestrację albo zapowiedź doniosłych osiągnięć w radzieckim i międzynarodowym ruchu robotniczym. W sytuacji obecnej, kiedy Związek Radziecki będąc państwem, które pierwsze zlikwidowało kapitalizm jest równocześnie kierowniczą siłą światowego obozu pokoju staje się rzeczą zrozumiałą, że kolejny Zjazd WKP(b) ma znaczenie przekraczające sferę wewnętrznych spraw naszego wschodniego sąsiada.

Komunikat ogłoszony w dniu 20 sierpnia b. r. przez Komitet Centralny WKP(b) zawiera treść projektowanego porządku dziennego Zjazdu oraz normy określające tryb wyborów delegatów. Równocześnie dziennik „Prawda” opublikował Projekt Dyrektyw XIX Zjazdu WKP(b) w sprawie V Planu Pięcioletniego ZSRR na lata 1951—1955. W związku z zapowiedzianymi zmianami w statucie WKP(b) podano również do wiadomości publicznej projekt nowego statutu. Na Zjeździe projekt ów będzie referowany przez N. S. Chruszczewa. Referat sprawozdawczy Komitetu

## XIX ZJAZD WKP(b)

Centralnego WKP(b) wygłosi sekretarz K. C. Malenkow.

Pierwszy po wojnie a czwarty z kolei Plan Pięcioletni został jak wiadomo wykonany zgodnie z ambitnymi zamierzeniami i obecnie Związek Radziecki znajduje się w drugim roku realizacji Pięciolatki. Z ogłoszonych danych wynika, że do roku 1955 produkcja przemysłowa wzrosnie w przybliżeniu o 70% podnosząc się rocznie mniej więcej o 12%. Zostaną oddane do użytku nowe elektrownie-obrębne, nowe fabryki maszyn energetycznych, obrabiarzy, aparatów do przemysłu naftowego, urządzeń waleowniczych, budowlanych etc. Ten gigantyczny skok naprzód w rozwoju przemysłu ciężkiego umożliwi z kolei rozwój cięższych gałęzi przemysłu i rolnictwa, a więc w konsekwencji doprowadzi do podwyższenia poziomu obecnej stopy życiowej obywatela radzieckiego. Realne zarobki w rezultacie zwiększenia produkcji będą mogły być podniesione o 33%, o połowę więcej nakładów niż w ubiegłej Pięcioletce przeznaczy się na służbę zdrowia, oświatę, naukę.

Wzrosnąć również ilość domów mieszkalnych. Plan przewiduje oddanie w miastach i osiedlach robotniczych do użytku ok. 105 milio-

nów metrów kwadratowych łącznej powierzchni.

Jedną z najbardziej imponujących zdobyczy nowego Planu jest rozszerzenie obowiązku średniego wykształcenia na całą młodzież zamieszkałą stolicami republik, miast wydzielonych, obwodów i krajów oraz wielkie ośrodki przemysłowe. Równocześnie w tym samym okresie mają być przygotowane warunki do przejścia z systemu nauczania siedmioletniego na średni (dziesięcioletni system nauczania) w pozostałych miastach i ośrodkach wiejskich.

Dla Polskiej Rzeczypospolitej Luwej związanej sojuszem ze Związkiem Radzieckim i budującej fundamenty ustroju bezklasowego — Zjazd październikowy jest nader istotnym sygnałem mobilizującym do kontynuowania społeczno-gospodarczej przebudowy. Przede wszystkim jednak znajdujemy w nim potwierdzenie realnej potęgi państwa, które stanowi dla Polski niekonkurencyjne oparcie wobec zachodnich zakusów na całość polskiego stanu posiadania. Przykład Związku Radzieckiego urzeczywistniającego nową fazę socjalistycznego budownictwa dowodzi jak dalece realistyczny jest plan przeobrażenia gospodarki narodowej i

społeczeństwa w nową bezklasową formację. Korzyści stąd wynikające szczególnie jasno dają się uzmysłowić w okresie złowieszczych napięć międzynarodowych. Gospodarka planowa w przeciwieństwie do systemu wolnokonkurencyjnego umożliwia taki podział dochodu społecznego, który zadośćczyniąc wszystkim niezbędnym wymogom obronności kraju jednocześnie, nieustannie pomaża osiągnięcia produkcyjne w innych, pokojowych dziedzinach. Otwarcie kanału Wołga — Don, czy budowa największej w świecie elektrowni kujbyszewskiej znakomicie ilustrują powyższą tezę.

Od ostatniego (XVIII) Zjazdu WKP(b), który się odbył w r. 1938 dzieli nas 14 lat. II Wojną Światową, w sposób tragiczny potwierdziła trafność diagnozy sytuacji międzynarodowej zawartej w wygłoszonym wówczas referacie Józefa Stalina. Wszyscy ludzie na kuli ziemskiej walczą o zachowanie pokoju z najwyższą niecierpliwością wyczekują obrad XIX Zjazdu WKP(b), który będąc dumny polsumowaniem minionego 14-letniego okresu nakreśli zapewne bieżący plan zadań i perspektyw dla narodów Związku Radzieckiego, ostoi światowego Obozu Pokoju.



Janusz OSTASZEWSKI

# NIEWOLA I NIEDOLA CZARNYCH

(Z okazji 100-ej rocznicy „Chaty wuja Toma“)

SUKCES PANI HARRIET

KTÓŻ z nas nie czytał w dzieciństwie „Chaty wuja Toma“, któż nie uronił dziecięcej łzy nad żalonym losem dobrego niewolnika Toma, któż nie przeżywał lęku o Jerzego, Elżbę i ich synka, małego czarnego Harry, któż nie cieszył się pomyslnym zakończeniem ich przygód...

...i któż z nas pamięta, że oto w tym roku mija 100 lat od ukazania się w Bostonie książki pani Harriet Beecher-Stowe pt. Uncle Tom's cabin or Negro life in the slave states of America.

Z tą rocznicą sprawa nie przedstawia się zresztą tak prosto. „Chata wuja Toma“ ukazała się bowiem pierwotnie w r. 1850 w odcinkach jednego z czasopism amerykańskich, nie budząc większego zainteresowania czy rozgłosu. W r. 1852 powieść pani Harriet została wydana w postaci książki i stała się tym razem wydarzeniem literacko-politycznym w skali światowej. W ciągu 3 miesięcy ten best-seller r. 1852 ukazuje się w 20 wydaniach. Co roku mnożą się tłumaczenia na wszystkie języki. Dwa pierwsze polskie przekłady „Chaty wuja Toma“ mamy już w r. 1853 i 1860.

Pani Harriet, czterdziestoletnia podówczas małżonka p. C. E. Stowe, profesora teologii protestanckiej, przeżywa wielki dzień swego życia. Mała, pastelowa blondynka o słodkim, tęsknym spojrzeniu, robi karierę nie tylko literacką, ale i towarzyską. Jest znana, jest chętnie widziana w najliczniejszym towarzystwie. Księżna Sutherland podejmuje wspaniałe panią Harriet w czasie jej pobytu w Londynie, co zresztą dało Karolowi Marksovi asumpt do ogłoszenia w New York Tribune artykułu opisującego (wg. jego własnych słów) „sytuację niewolników sutherlandzkich“. A kiedy wielki Abraham Lincoln spotka panią Harriet (już po wielkiej wojnie Północy z Południem) wtedy usłyszy ona z jego ust:

— Więc to jest ta drobna kobieta, która popchnęła wielki naród do wojny.

W tym odezwaniu się starego Abe — było dużo przesady ale...

LATA PIĘCDZIESIĄTE XIX WIEKU

...ale pozostawmy na chwilę panią Harriet i rzućmy spojrzeniem na epokę, w której powstała jej książka.

Okres to w historii gospodarczej Stanów Zjednoczonych szczególnie znamienity.

W ciągu 10-lecia 1840 — 1850 ulega podwojeniu wartość produkcji przemysłowej, osiągając po raz pierwszy poziom miliarda dolarów. Udział Stanów Zjednoczonych w wartości produkcji światowej wzrasta z 11% w r. 1840 do 15% w r. 1850. Wartość produkcji przemysłowej po raz pierwszy w r. 1850 przewyższa wartość produkcji rolniczej. Inwestycje ulegają podwojeniu. W samym tylko przemyśle bawełnianym ilość zatrudnionych wzrasta w tym czasie o 70%, zużycie zaś bawełny więcej niż czterokrotnie. Wraz ze wzrostem przemysłu, który coraz silniejsze piętno nadaje takim stanom jak: New York, Massachusetts, Pensylwania, Ohio, Connecticut, New Jersey, Kalifornia, Illinois i Virginia — wzrasta ilość ludności miejskiej. Udział jej w ogólnej liczbie ludności podniósł się z 8,5% w r. 1840 do 12,5% w r. 1850. W latach 1840 — 1860 ilość kolejowa Stanów Zjednoczonych zwiększa się dziesięciokrotnie.

W tym samym okresie w stanach północnych obserwujemy silny rozwój rolnictwa, oparty na postępie technicznym. W r. 1848 Mr Cormick

zakłada pierwszą fabrykę maszyn rolniczych w Chicago.

Młody kapitalizm amerykański nabiera rozpędu.

W r. 1845 — aneksja Teksasu, w r. 1846 — rezygnacja Anglii z praw w Oregonie na rzecz Stanów Zjednoczonych, w r. 1848 — ustąpienie przez Meksyk na rzecz Stanów Zjednoczonych wielkich obszarów na zachodzie.

Ernest Ludlow Bogart w swojej „Economic History of the United States“ pisze o tym okresie:

Wszyscy autorzy są zgodni, że Stany Zjednoczone dokonały w tym okresie wielkiego postępu przemysłowego; był to czas solidnego dobrobytu i regularnego, stałego postępu. Sumner nazywa go „złotym wiekiem“. Bogactwo kraju wzrosło o 126%, wraz z nim zaś ogólny poziom życia narodu, tak że przy szerokim dobrobycie nędza była prawie nieznaną.<sup>1)</sup>

Tak! „Nędza była prawie nieznaną...“

„Alboż nad Murzynami jest jakiś Bóg, który by nam pomagał? Zaprawdę nie zdaje mi się, żebyśmy mieli pocieszyciela i wybawcę niedoli“ — mówi w powieści pani Beecher-Stowe udręczony Murzyn Jerzy, jeden z bezimiennych rzeszy 4 milionów niewolników — nędzarzy, którzy byli w owym czasie dzwignią gospodarki południowych stanów.

Sytuacja gospodarcza Południa przedstawiała się bowiem całkiem inaczej.

W plantacjach bawełny, trzciny cukrowej, tytoniu — pod batem dozorców — w trudnych do przedstawienia i pojęcia warunkach pracowały na swych białych panów — milionowe rzesze niewolników. W tych warunkach było możliwe tylko ekstensywne rolnictwo. Zacołanie gospodarcze Południa jaskrawo ujawniało się w jego powolnym rozwoju przemysłowym. W tym samym czasie, gdy na Północy istniało już 109.000 przedsiębiorstw przemysłowych, zatrudniających ponad milion robotników, na Południu w 31.000 istniejących przedsiębiorstwach pracowało zaledwie 200.000 robotników.

Ilość właścicieli niewolników (wraz z rodzinami) wynosiła w momencie wybuchu wojny domowej ok. 400.000. Niewolników było w tym czasie, jak wspomniano, 4 miliony. Ale właściwy obraz układu stosunków daje dopiero stwierdzenie, że w rękę 7% białych skupiała się własność 75% wszystkich niewolników oraz faktyczna władza polityczna na Południu.

Różnice ekonomiczne, dzielące Północ i Południe stwarzały ostre przeciwieństwa we wszystkich dziedzinach.

Na Północy mamy zwolenników centralizmu, na Południu — federalizmu, na Północy republikanów, na Południu „demokratów“; na Północy dominuje ludność pochodzenia plebejskiego, nazwana pogardliwie Janekami przez szlachecką ludność o arystokratycznych tendencjach, na dającą ton życiu Południa. Na Północy — szybkie tempo rozwoju kapitalistycznego, na Południu — uparte trwanie w feudalnych formach społeczno-gospodarczych. Północ domaga się wysokich celów ochronnych dla popierania rozwoju młodego przemysłu, plantatorzy Południa wypowiadają się ze względu na angielski rynek zbytu na bawełnę za wolnym handlem. Na Północy mamy ruch abolicjonistyczny, na Południu zdecyd-

waną przewagę zwolenników utrzymania niewolnictwa.

Lata 1840 — 1860 — to lata stałego narastania tych przeciwieństw i konfliktów, które po wyborze Lincoln na stanowisko Prezydenta Stanów Zjednoczonych w r. 1860 wyładowały się w wojnie Północy z Południem. Nie miał więc racji Abe Lincoln, gdy przypisywał pani Harriet decydującą rolę w wybuchu konfliktu zbrojnego, ale...

Z HISTORII NIEWOLNICTWA

...ale niewątpliwie nie należy też umniejszać roli „Chaty wuja Toma“ w kształtowaniu się ówczesnych poglądów na zagadnienie niewolnictwa. Pamiętajmy, że sukces wydawniczy tej książki przypadł na okres, gdy problem niewolnictwa dojrzał właśnie do decydującego rozwiązania i że jej ukazanie w druku dzieli od wybuchu wojny, która przyniosła zniesienie niewolnictwa, niespełna dziewięć lat.

Zaczyna się podówczas nowy rozdział w historii niewolnictwa, w historii cierpienia i hańby.

Na gruzach zniszczonych przez konkwistadorów kwitnących kultur Ameryki wyrósł „nowy świat“, który dla swego rozwoju gospodarczego potrzebował siły roboczej. Tę siłę roboczą znajdowali w XVI, XVII i XVIII wieku Anglicy, Holendrzy, Francuzi, Portugalczycy i Hiszpanie w Afryce. I tu legła w gruzy pod naporem białych ciekawa, stara kultura afrykańska. Murzyni stali się przedmiotem nieludzkiego okrutnego handlu. Dziesiątki milionów istnień ludzkich padło ofiarą tego drapieżnego, ale niezmiernie dochodowego interesu.

Początkowo handel niewolnikami skierowany był do Kuby, Porto Rico, San Domingo, Jamajki i pozostałych wysp środkowej Ameryki. Pierwszych niewolników na kontynent amerykański przywiózł w r. 1619 statek holenderski do Jamestown (Virginia). Od tego czasu liczba ludności murzyńskiej stale rosła. Wzrost ten spowodowany był przywozem nowych niewolników, oraz — w poważnym stopniu — przyrostem naturalnym. W r. 1840 ilość Murzynów w Stanach Zjednoczonych wynosiła prawie 3 miliony, z czego 2,5 miliona niewolników, w chwili wybuchu wojny — 4,4 miliona, z czego prawie 4 miliony niewolników.

Ilość ludności niewolniczej, nieludzkie warunki jej życia, przede wszystkim zaś przemiany gospodarcze i spowodowane nimi narastanie konfliktu między Północą i Południem — wszystko to spowodowało, że problem niewolnictwa był w owym czasie, gdy pani Beecher-Stowe wydała swą książkę, jednym z centralnych problemów Stanów Zjednoczonych.

Nie był to zresztą problem nowy. Niepokoił on od dawna ludzi o szlachetnych sercach (zwłaszcza gdy ich humanitaryzm pozostawał w zgodzie z ich interesem). Jeszcze w r. 1663 kolonia Maryland, w r. 1667 zaś Virginia odpowiedzieć musiały na pewne niepokojące wątpliwości moralne aktami prawnymi, ustalającymi, że chrzest nie ma żadnego wpływu na sytuację prawną niewolnika. W r. 1727 kwakrzy wystąpili w Pensylwanii z żądaniem zniesienia niewolnictwa. W r. 1776 Hartley stawia w parlamencie angielskim pierwszy wniosek o zniesienie niewolnictwa. Rewolucja francuska wysuwa hasło wolności dla Murzynów. Konwencja dekretem z 1792 r. znosi niewolnictwo na plantacjach kolonistów francuskich. Pod sztandarami rewolucji Toussaint Louverture w r. 1801 tworzy na San Domingo pierwszą re-

publikę murzyńską. 1 maja 1807 r. parlament angielski uchwała Abolitions-Act of Slavery, od r. 1833 zaś obowiązuje formalny zakaz niewolnictwa w całym imperium brytyjskim (co zresztą było dla Anglii jeszcze jedną okazją do wzmocnienia kontroli i władzy nad morzami i oceanami).

Echa tych wydarzeń docierają i do Stanów Zjednoczonych, docierają nawet do udręczonych, pogrążonych w najgłębszej ciemności (przecież w r. 1832 taki stan Alabama postanowił nakładać kary za nauczanie Murzynów) mas murzyńskich. Mnożą się w owe lata bunt i powstania murzyńskie: w Virginii (w r. 1800 i 1831 pod dowództwem Nata Turnera), w Luizjanie (1811 i 1837), w Południowej Karolinie (1822).

RUCH ABOLICJONISTYCZNY

OPINIA „białej“ Ameryki dzieli się na dwa obozy. Z jednej strony stoją plantatorzy Południa, opierający swoją egzystencję, swoje bogactwo i wygody życiowe na instytucji niewolnictwa — z drugiej strony staje postępowe mieszczaństwo Północy, przemysł szukający wolnych rąk do pracy, drobni farmerzy, rzemieślnicy, robotnicy. W ten sposób rodzi się nowy okres ruchu abolicjonistycznego, domagającego się zniesienia niewolnictwa. W r. 1833 powstaje Amerykańskie Towarzystwo Walki z Niewolnictwem.

Najgłośniejsi pisarze, publicyści i działacze amerykańscy owego okresu biorą udział w tej walce — Whittiers, Lowell, Longfellow, Channing, Parker, Daniel Webster, Wendell Phillips, Henry Ward Beecher (brat naszej pani Harriet), Oliver Wendell Holmes, William Lloyd Garrison, Ralph Waldo Emerson. Przeciwno nim występują zwolennicy i obrońcy niewolnictwa tacy jak Page, Grayson, Legaré i wielu innych pismaków, których nazwiska utonęły już w niepamięci.

Pani Harriet Beecher-Stowe, córka pastora, żona profesora teologii i zaciętego abolicjonisty, siostra głośnego podówczas kaznodziei i także zagorzałego abolicjonisty — znakomicie wyraziła w swej książce poglądy tego środowiska na zagadnienie

niewolnictwa. Nie tylko zresztą w e g o środowiska. W „Chacie wuja Toma“ znajdujemy bowiem wierny obraz różnych poglądów i różnych stanowisk w sprawie murzyńskiej.

I może to właśnie zadecydowało o ogromnym sukcesie tej książki (podczas gdy inne, literacko ponoc bardziej wartościowe, utwory pani Beecher-Stowe nigdy nie doczekały się takiego powodzenia).

W każdym razie w literaturze abolicjonistycznej „Chata wuja Toma“ zajmuje specjalne stanowisko — jako pozycja najbardziej znana, najbardziej popularna, najbardziej wpływową, najbardziej dyskutowaną i budzącą najostrejsze polemiki (w odpowiedzi na nią J. W. Page napisał wszakże całą powieść: Uncle Robin in his Cabin in Virginia...).

GALERIA TYPÓW — GALERIA POGLĄDÓW

WARTO przy okazji stulecia zajrzeć do książki, czytanej kiedyś w dzieciństwie (po raz drugi zazwyczaj ukazuje się ona na horyzoncie życia, gdy nasze dzieci zaczynają podraszczać do „poważniejszej“ literatury).

Otwórzmy więc „Chatę wuja Toma“ i powitajmy starych znajomych.

Oto pobożny Murzyn Tom, bohater książki, którego tragiczną śmierć oplatowali kiedyś gorzkimi łzami dziecięcego współczucia. „Wuj Tom“ — ten ideał uczciwości i wierności jest dziś w Ameryce pogardliwym określeniem Murzyna, który pogodził się ze swoim losem, Murzyna uległego, Murzyna, który nie chce walczyć. Biedny Tom! — takim stworzyła go pani Harriet — i takim pozostał już na zawsze. Pamiętajcie jak to p. Shelby („dobry pan“) sprzedał Toma złemu handlarzowi niewolników? Przy tej okazji zwraca się on do Toma z takim wezwaniem:

„...liczę na to, że jutro będziesz gotów jechać. Zaręczyłem z ciebie tysiącem dolarów. Pamiętaj, że wyrządziłbyś mi w i e l k ą k r z y w d ę, gdybyś użył jakiego fortelu, aby uniknąć poddania się swemu losowi.“

(Dokończenie na str. 8)

CYPRIAN NORWID

## Do obywatela Johna Brown

(Z listu pisanego do Ameryki w 1859, Listopada)

Przez oceanu rucłome płaszczyzny  
Pieśń Ci, jak mewę posyłam, o! Janie..

Ta ciecie długo będzie do ojczyzny  
Wolnych — bo wątpi już: czy ją zastanie...?  
— Czy też, jak promień twej zacnej siwizny.  
Biała — na puste zleci rusztowanie:  
By kata Twego syn rączką dziecinną  
Kamienie ciskał na mewę gościnną.

\*

— Więc, niżli szyję twoją obnażoną  
Spróbują sznury, jak jest nieugiętą;

Więc, niżli ziemi szukać pocznieś piętą,  
By precz odkopnąć planetę spodloną —  
A ziemia spod stóp Twych, jak płaz zlekniony,  
Pierzchnie; —

więc, niżli rzekną: „powieszony...“  
Rzekną i pojrzą po sobie, czy kłamią? —

\*

Więc nim kapelusz na twarz ci załamią,  
By Ameryka, odpoznawszy syna,  
Nie zakrzyknieła na gwiazd swych dwanaście:  
„Koronę mojej sztuczne ognie zgaście,  
Noc idzie — czarza noc z twarzą Murzyna“.

Więc, nim Kościuszki cień i Waszyngtona  
Zadrzy: — początek pieśni przyjm, o! Janie..

Bo pieśń nim dojrzy, człowiek nieraz skona,  
A niżli skona pieśń, naród pierw wstanie.

1) Cytowane wg J. Kuczynski — Die Geschichte der Lage der Arbeiter in den Vereinigten Staaten von Amerika von 1789 bis in die Gegenwart. Berlin 1949. — str. 37.



Michał JAWOR

# PAROKSYZMY ULECZALNEJ CHOROBY

## O wybuchu dwóch wojen światowych

RUCH pacyfistyczny uważa wojnę za zło, które posiada swoje przyczyny. Naukowe zbadanie tych przyczyn i wdrożenie prób ich usunięcia lub powolnej przemiany stanowi właśnie zadanie tego ruchu. Tak pisał przed laty blisko pięćdziesięciu ówczesny czołowy pacyfista niemiecki, Alfred Hermann Fried, w broszurce o osiągnięciach i celach pacyfizmu.

Dla dzisiejszego ruchu obrońców pokoju, na zgoła odmiennych oparciu podstawach, taki program walki o pokój byłby wysoce niedostateczny. „Wdrożenie prób” nie wystarczyło by dla uchronienia świata przed nowymi wojnami, natomiast naukowe badanie przyczyn owego zła posunął daleko naprzód marksistowski socjalizm naukowy.

Podstawy socjalizmu rzucane już były w czasach A. H. Frieda, ale ówczesny pacyfizm zwolna tylko i niezbyt skwapliwie sięgał po wyniki badań i rozważań ideologów socjalistycznych. Sam Fried tak dalece nie pojmował jeszcze właściwych przyczyn zła, jakie chciał zwalczać, że na przełomie XIX i XX wieku wysunął projekt zaprowadzenia pokoju między imperialistycznymi mocarstwami Europy drogą... podzielał Chłn między poszczególne mocarstwa! Taką metodę zwalczania wojny, nastęstwa imperializmu, uznać należy niewątpliwie za próbę „wypędzenia Belzebuba przy pomocy Lucyfera”.

Nie znaczy to, aby nie było wśród pacyfistów ludzi, którzy by umieli skorzystać ze zdobyczy nauk społecznych. Swego czasu pisałem na łamach „Słowa Powszechnego” o austriackiej pacyfistce, Bercie von Suttner, która od namiętnego potencjalnego objawów wojny przeszła do wytrwałego wskazywania jej przyczyn, tkwiących w fundamentach nie sprawiedliwego ustroju społecznego. Skłaniając się ku socjalizmowi, należąca do grupy „narodników” ekonomista moskiewski, prof. Kabiukow (jego poglądy na stosunki gospodarcze wsi krytykował Lenin w pracy o rozwoju kapitalizmu w Rosji) pisał w roku 1899, iż rozstrzygnięcie o wojnie i pokoju musi być uzależnione od tych klas społecznych, na które wojna spada najcięższym ciężarem. Albowiem, podkreślał uczony rosyjski, jakkolwiek niszcząca i ciężka jest wojna dla szerokiego mas, natomiast gwałtownym przemysłu przynosi ona konkretne korzyści...

I tutaj docieramy do jądra sprawy. Okazuje się, że wywołanie wojny jest w zasadzie taką samą zbrodnią, jak wszelkie inne zjawiska kryminologiczne — i stosuje się do niego tak samo znaną kryminologiczną zasadę „is fecit cui prodest”, „uczynił ten, komu to było pożyteczne”. Rzecz prosta zagadnienie tego „prodest” inaczej wygląda przy takim masowym morderstwie na odległość, jakim jest rozpalenie pożogi wojennej, niż przy zwyczajnym morderstwie rabunkowym. (Istnieją zresztą iście darwinowskie „typy pośrednie” — jednym z nich jest jednostkowy mord polityczny).

1 sierpnia upłynęło lat 38 od dnia wybuchu pierwszej wojny światowej, którą w dalszym ciągu nazywać będziemy krótko Wielką Wojną. 1 wrzesnia uływa lat 13 od dnia wybuchu drugiej.

### TA SAMA RĘKA

W okresie trwającej od lat kilku, a stale się wzmagającej walki o pokój, walki z widmem trzeciej wojny światowej — dzieje tamtych dwóch wybuchów zaczynają nabierać szczególnego znaczenia. Dlatego warto pokrótce nimi się zająć.

Stawiając problem genezy obu wojen należy rozróżnić w nim dwa zagadnienia: właściwą genezę, czyli ogólniejsze przyczyny, dla których wojna przybrała takie właśnie rozmiary i charakter — zarówno polityczny, strategiczny i ekonomiczny, jak i ideologiczny — oraz bezpośredni powód, wybuch wojen i towarzyszące mu okoliczności.

Nie ulega kwestii, że właściwa geneza jest zagadnieniem donioślejszym, niż bezpośredni powód. Tutaj jednak chcemy się zająć przede wszystkim tą właśnie ostatnią sprawą. Po pierwsze dlatego, że literatura o przyczynach samej tylko Wielkiej Wojny utworzyła nieziłą piramidę egipską i trudno tu wdawać się w szczegóły. Po drugie — ponieważ wybuch lipcowo - sierpniowy roku 1914 i wybuch sierpniowo - wrześniowy roku 1939 wykazują daleko podobieństwa, i to mimo całkowicie niemal różnej sytuacji politycznej. Wreszcie po trzecie — ponieważ także i owe podobieństwa wskazują na to, że działają w obu wypadkach ta sama ręka i metoda dyplomatyczna. Przeżywamy zaś uporczywe próby odródnienia, przywrócenia do życia i pełni sił tego właśnie imperializmu, który wówczas działał, a teraz miałby ponownie wystąpić „w roli siły, której przypadnie pierwsze uderzenie”, jak pisał wybitny sowiecki historyk imperializmu niemieckiego, prof. Jerusalmiski.

Czy dojdzie do tego, czy próby te się powiedzą, o tym na tle ogólnych warunków wolno powątpiewać; ale nie zwalnia to od obowiązku przyjrzenia się metodom imperialistycznej polityki prusko-niemieckiej, której spado biercą jest rząd Adenauera, a której ucniami mogą się okazać jego sojusznicy, partnerzy „układu ogólnego”.

Zasadniczy zarys politycznej genezy Wielkiej Wojny tworzą przyczyny konfliktu między Niemcami, a mocarstwami Trójprzymierza: Rosją, Francją i Wielką Brytanią. Geneza gospodarcza sprowadza się do ucieczki przed kryzysem, przed którym uchronić miało z jednej strony zdobywanie nowych rynków zbytu, możliwe, po wyczerpaniu zasobów ziemi nieobjętych kolonialnym wladztwem, już tylko na drodze walki zbrojnej — z drugiej strony sama wojna, stwarzająca swoistą koniunkturę dla

głównych gałęzi przemysłu, kosztem społeczeństw. Wreszcie geneza socjalna — to dążenie w Niemczech do unieszkodliwienia, bądź zdławienia ruchów społeczno-rewolucyjnych, a w Austrii i po części w Rosji także i ruchów narodowo-emancypacyjnych. W Niemczech ponadto chodziło o podniesienie znaczenia przegranej stopniowo w rozgrywce z burżuazją kasty feudalno-militarnej. (Mówiąc „Austria” mamy na myśli ówczesną monarchię austro-węgierską i tak też ją będziemy nazywali w dalszym ciągu).

### ZRÓDŁO KONFLIKTÓW

KONFLIKT niemiecko-rosyjski zrodził się z rywalizacji na południowym-wschodzie: z bezpośredniego zainteresowania Niemiec Azją Mniejszą, gdzie kapitał niemiecki budował koleje i starał się stworzyć sobie dostępną na drodze lądowej kolonię w Turcji; z pośredniego zainteresowania Niemiec Balkanami, gdzie kapitał niemiecki chciał utrzymać pozycję Austrii, zainwestowawszy w tym państwie olbrzymie sumy. Jedno i drugie krzyżowało drogi carskiej ekspansji, zwłaszcza odkąd Rosja carska wyparta została przez Japończyków z Dalekiego Wschodu.

Konflikt niemiecko-francuski zrodził się zrazu w Alzacji i Lotaryngii. Pierwotna, strategiczno-terytorialna postać tego sporu o zagarnięte w 1871 r. francuskie prowincje utrzymywana była sztucznie tylko za pomocą propagandy. Rzeczywisty konflikt ukuty był z rud żelaznych owych prowincji i sąsiednich obszarów, odkąd nauczono się wyzyskiwać szczególną odmianę lotaryngskiej rudy — oraz rud żelaznych i innych minerałów Marokka.

Ze stali ukuty był również konflikt niemiecko-brytyjski. Składało się nań wielkie współzawodnictwo handlowe, ale przede wszystkim fakt budowania przez Niemcy olbrzymiej floty wojennej, stacjonowanej w wrotach macierzystych wysp brytyjskich. Wszystko zaś wskazuje na to, że najistotniejszym celem tej budowy było danie zysków i nad-zysków Kruppowi oraz innym posiadaczom hut, stoczni i kopalni.

Widzimy więc, że nie istnieje właściwie linia podziału między sprawami politycznymi, gospodarczymi i społecznymi.

Widzimy też, że nawet zwięzłe omówienie całej nienapisanej jeszcze na ten temat literatury byłoby równie niemożliwe w ramach artykułu, jak omówienie olbrzymiej literatury już napisanej, a zajmującej się raczej powierzchowną analizą wydarzeń.

We wszystkich państwach wrogięgo Niemcom Trójporozumienia istniały ugrupowania pragnące wojny — najsiłniej w autokratyczno-militarnej carskiej Rosji, najmniej wpływowe w kupieckiej Anglii. Wszelako żadne z tych ugrupowań, ani też ich połączone intrygi nie byłyby w stanie wywołać wojny, gdyby nie militarystyczny imperializm prusko-niemiecki, główny, zasadniczy czyn „międzynarodówki nacjonalistów” (Internationale der Nationalisten), jak ją określili później jeden z demokratycznie nastawionych niemieckich publicystów.

Wbrew tezie nie nastawionych demokratycznie publicystów niemieckich, mocarstwa Trójprzymierza raczej jednak zdradzały tendencje konserwatywne, niż dynamiczno-napastnicze. W państwie carów przyczyną była słabość wewnętrzna zniechęconego przez społeczeństwo ustroju, w Francji — zastój ludnościowy i wygodnictwo rentierskie burżuazji, w Anglii przede wszystkim solidny kupiecki dobrobyt klas rządzących, które tylko

ucierpieć mogły na wojnie. U wszystkich trzech państw wreszcie — fakt, że one właśnie podzieliły między siebie świat, i zależało im na utrzymaniu zdobyczy. Przy wszelkich nowych podziałach mogły przede wszystkim stracić.

### WROTA ŚWIĄTYNI JANUSA

ANI JEDEN z tych czynników nie występuje w pruskiej Rzeszy na przełomie stuleci: struktura państwowa jest mocna, armia potężna, ludność szybko się mnoży, a przy podziale świata Niemcy zjawiały się za późno, by wziąć w nim istotny udział. Stąd też i groźba, jaką rzucił jeden z miarodajnych publicystów niemieckich owego czasu: Niemcy muszą być wynagrodzone za wszystko, co zagarnęły sobie na świecie państwa anglosaskie, Rosja i Francja — i nie zgadzają się na żadne inne nabytki ze strony tych państw; w przeciwnym razie „niech by się otworzyły wrota świątyni Janusa!” — prowadzące do wojny. Ten sam publicysta napisze potem już podczas wojny, że cała niemal Afryka, to jeszcze bardzo niedostateczny dla Niemiec nabytek. Z teje szkoły imperialistycznego myślenia, „nacjonalistycznego w treści, światowego w formie”, wyjdą m. in. imperialiści amerykańscy, którzy w tym czasie wydali Alfreda Mahana — teoretyka potęgi morskiej i systemu baz morskich.

Jakże przedstawiało się teraz „otwarcie wrot świątyni Janusa” latem 1914 roku, przez które to wrota imperialiści prusko-niemieccy spodziewali się przejść do światowej potęgi? I w czym podobne było do ponownego otwarcia tych wrot w 23 lat później?

W październiku 1908 roku Austria ogłosiła aneksję prawnie tureckich, a narodowo serbskich prowincji Bośni i Hercegowiny, oddanych pod jej administrację na kongresie berlińskim w roku 1878. Bez względu na rzekome przyczyny tego kroku był on wymierzony przeciw dążeniu do wyzwolenienia i zjednoczenia południowych Słowian. Wywołał też ostry protest Serbii oraz popierającej ją Rosji. Austrię poparły zdecydowanie Niemcy — i „kryzys aneksyjny” groził wojną. Ale Rosja nie podźwignęła się jeszcze ze skutków wojny japońskiej; mocarstwa zachodnie wywarły na Serbię silny nacisk, ażeby ustąpiła. Zdane na własne siły małe państwo serbskie musiało zrezygnować z protestów i zobowiązać się nawet do lojalnego zachowania wobec austriackiego sąsiada.

Analogie do późniejszych o lat trzydzieści wydarzeń monarchijskich są zbyt jaskrawe, by je podkreślać. Hitler skorzystał z nauki, jakiej udzieliły lata 1909—1914: postarał się o to, aby tzw. „druga republika” czechosłowacka lepiej dochowała lojalności, niż Serbia.

Państwo serbskie i płynące stamtąd dążenia narodowo-wyzwoleńcze nie przestawały bowiem być groźbą dla Austrii, zbudowanej w znacznej mierze na narodowo-społecznym ucisku ludów słowiańskich, które tworzyły proletariatu wiejski w znacznej części monarchii. Myśl o zgnięceniu Serbii nie opuszcza polityków wiedeńskich i berlińskich; a nie dajże im spokoju, odkąd z wojen bałkańskich 1912/13 roku Serbia wychodzi powiększona i wzmocniona.

28 czerwca 1914 roku austriacki następca tronu, arcyksiążę Franciszek Ferdynand, ginie wraz z żoną od kul zamachowców w Serajewie, na terytorium austriackiej Bośni. Zabójcą był serbski student, poddany austriacki, Gavrilo Princip.

Późniejsze twierdzenia i insynuacje propagandy niemieckiej, jakoby w przygotowaniu zamachu brał udział rząd serbski, rosyjski a na-

wet brytyjski, nie zasługują na uwagę. Stwierdzono tylko, i to znacznie później, że zamach organizowany był przy pewnym poparciu serbskiego sztabu generalnego. Współcześnie jednak Austriacy wiedzieli tylko, że z zamachowcami współdziałał jeden oficer i jeden niższy urzędnik serbski, ten ostatni zresztą — także poddany austriacki.

### ULTIMATUM AUSTRIACKIE

NA tej wątpliwej podstawie postanowiono w Wiedniu oprzeć prowokację polityczną, która miałyby doprowadzić do wojny. Nie byłoby to możliwe bez zapewnienia sobie poparcia Rzeszy — ale cesarski rząd berliński od pierwszej chwili stanął na stanowisku, że popiera bez zastrzeżeń nieznane sobie nawet kroki Austrii.

Istotnie, warunki austriackiego ultimatum 48-godzinnego, przekazanego rządowi serbskiemu 23 lipca wieczorem, były takie, jakich zdaniem ogólnym żadne niepodległe państwo nie postawiło nigdy drugiemu. A jednak obawy austriackiego szefa sztabu, generała Becka, który drżał, że Serbia zgodzi się na wszystko i wojny nie będzie — były uzasadnione. Serbia zgodziła się prawie na wszystko — na surowe zakazy i ograniczenia zapewniające lojalność wobec Austrii i sflumienie propagandy anty-austriackiej, na wydanie odpowiedniego rozkazu do armii, na żądane zmiany w podręcznikach szkolnych, na aresztowanie lub usunięcie z armii wszystkich podjezycznych i tak dalej; odmówiła tylko zgody na prowadzenie śledztwa w Serbii przez policję austriacką — i zaproponowała rozstrzygnięcie ewentualnych sporów przez międzynarodową izbę rozjemczą w Hadze.

„Wystarczyło mi przebiec tylko oczyma dokument, by poznać, że odpowiedź w żaden sposób nie wystarczała” — stwierdza w swoich wspomnieniach baron Giesl, poseł austriacki w Belgradzie. Przebiegł też oczyma dokument — obejmujący pięć stron druku! — i opuścił Belgrad. Zapytany następnie przez węgierskiego premiera Tiszę, czy tak być musiało, odpowiedział krótko: „Tak!”. Istotnie — instrukcja wiedeńsko-berlińska była wyraźna...

Potem Austria wypowiedziała wojnę Serbii, z dodatkowym „uzasadnieniem”, że Serbowie ostrzelali statki austriackie na Dunaju; z kolei Rosja ogłosiła mobilizację. Niemcy na to tylko czekały. Wiedząc dobrze, że mobilizacja niemiecka jest o wiele dni szybsza, że Rzesza może spokojnie czekać — Berlin zaczął jednak udawać taką panikę, jakby co najmniej carscy kozacy przeprawiali się już przez Odrę. Niemcy ogłosiły mobilizację i wypowiedziały wojnę Rosji — storpedowawszy jeszcze po drodze angielskie próby pośrednictwa i dania Austrii pełnej satysfakcji bez podpalania Europy.

Wypowiedzenia wojny Francji i napaści na Belgię — co ostatecznie zmuszało do wystąpienia Anglię — wymagał już po prostu niemiecki plan wojenny. Niemcy nie miały bowiem podówczas planu wojny z samą Rosją. Byłoby to nazbyt sprzeczne z interesami przemysłu północno-zachodnich Niemiec, pragnącego ekspansji na północ i zachód. Władcy węgla i stali nad Ruhrą i Saarą nie mogli dopuścić do wojny tylko na wschodzie...

### W DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ

WSZYSTKIE elementy owych dni odnajdujemy w 25 lat później, oczywiście w zmienionym układzie, odpowiadającym zmienionym warunkom.

(Dokończenie na str. 8)

## Listy świętego Hieronima

(Dokończenie ze str. 1)

Wenerę albo dr. Cybelę, tak i my — tyle mamy różnych masek ile grzechów... \*)

LISTY Hieronima zyskały sobie prędko uznanie i już za życia autora czytane były gorliwie dla ich uczoności i dla zalet stylu. Prawdziwie piękna to proza łacińska, płynąca kaskadami równych okresów i wspaniałych niekiedy klauzul, pełna retorycznych ozdób i igraszek słownych,

którymi Hieronim obficie szafował szczególnie w polemikach. Nie w tym leży oczywiście ich wartość, chociaż nie da się zaprzeczyć, że podnoszą one bardzo urok Listów.

Uwaga ta będzie na miejscu przy tych ogólnych refleksjach nad Listami, jeśli dodamy, że przekład ks. prof. Czujka odtworzył możliwie wiernie nastrój i piękno oryginału, ukazując polskiemu czytelnikowi po raz pierwszy z bliska świętego Hieronima.

\*) Fragmenty cytowane z Listów podane są w przekładzie ks. prof. J. Czujka.



Irena WNUKOWA

# O pierwszej przyjaciółce

BYŁ dzień wolny od pracy Napotkałam grupę dziewcząt maszerujących środkiem jezdnii. Wiatr od wiewał im włosy z uniesionych twarzy i trzepotał czerwonymi krawatami po bluzach. Prowadziła je starsza trochę kobieta. I właśnie ta kobieta idąca z boku... Miała bruzdy koło ust nieco zapadnięte skronie, ale oczy między skroniami uśmiechały się równie pogodnie jak tych dziewcząt w rzeźwym nadmorskim wietrze. Jej włosy zaśnieżyły zrudziały buczyną — nie mogłam wzroku oderwać. Dopiero potem jakbym starą, zapomnianą i nagle odnalezioną książkę rozwarła. Przecież to były te same zielone oczy i rude jak liście włosy!

\*

MOJA matka powiedziała, że się chyba chmury urwały. Świat utopił się w żółtawych strugach uderzających z impetem o ziemię. Wyrwał przez skarpę rwał potok i skiełbał się buro na łące Bramę do mu wypełniał wiatr stężonego pod ulewą powietrza. Jeszcze nie zarzucałam sandałów na plecy, a nogi już same zeskoczyły z wysepki progów w prąd kierujący stopy ku szumiącej ulicy rzeki. Rzeka była zaczarowana. Nie umiałam nawet wstrzymać biegu, kiedy jej rozchukane fale wsiąkiły w mielizny piasku i zadykana traciłam równowagę balansując rękami niby niezgrabny ptak. Chmury uciekały spieszenie, rzadko tylko spadały ciężkie krople. Obok tak samo jak ja, obciągało na mokrych kolanach sukienkę drugie dziecko. Zerkałyśmy na siebie z usmiechem tajnego porozumienia.

Moja matka nie stawiała przeszkód. Zdaje się, że grzeczna ta dziewczynka — orzekła. Jak się na żywa? Acha, Celka. Możecie się bać jeśli chcesz.

Za drzwiami, w ostatnim pokoju kryła się półka pełna starych książek. Deski w podłodze były tam szerokie i chłodne. Tego dnia nastąpiło dla kęta święto. Celka klęczała przy mnie i czekała, co z poplamionych kartek wyniknie. Jednak tajemnicę trudno było wyrazić słowami.

— Wiesz to jest teatr — przycisnęłam pachnące zleżałym kurzelem książeczki do siebie.

Ale teatr kojarzył się dla Celki jedynie z szkolnym przedstawieniem, na którym dzieci po kolei ładnie ze sceny mówili.

— Nie Celka, co innego — to jest sztuka. Sztuka.. tego już zupełnie nie pojmowała, mimo to gotowość aż zmieniająca wyraz jej twarzy sprawiała, że moje serce stawało się ciężkie od radości i kołatało nie spokojnie, kiedy zaczynałam czytać.

Niektóre zdania zawierały nieodgadnony przez nas sens — były niby korale osadzone w zwrotkach akcentów i rymów — ślizgały się jednak przez wargi równie łatwo jak słowa zrozumiałe, by stworzyć wspólnie monotonna pieśń. Mówione śpiewanie stanowiło potowę, ale druga, ach, ta druga połowa, która wydedukowałam podczas samocnych kucek za drzwiami. Dopiero w lesie stała się ona jawą. Pośród

ku łączki z ostrej trawy, otoczonej ścianami liści i sosen wyrastających prosto i wysoko, zieleniała jeszcze intensywniej rzeża na małym bajorku. Tam opleciona girlandami powoju zamieniałam się w Goplannę, by skupionym oddechem ogrzewać przejrzyste cienie jaskółek, a potem je puszczać z wolnym rozchyleniem dłoni. Pod ruchem rąk i melodią wierszy zatracano się wszystko namacalne i materializowało się owo niepojęte, ukryte w książkach z półki. Słońce przesiewało wpatrzone we mnie oczy Celki kolorem gałęzi wiszących nad jej głową. Odurzona zabawą wpadałam w nowe zachwycenie:

— Cecylko ty jesteś moja Tytania! — Gwałtownym ruchem strząsnęła promienie z nabrzmiających miedzią włosów i nim mi ręce opadły zostałam sama, przerażona jej gniewem. W wąwozie wiódącym ku skrajowi lasu szeleściaty roztrącane bieżącym liście. Długo pieszczona tajemnica rozspalała się nieczem kopnięte nogą cudeńko z piasku. Przecież wiedziałam, że ani siostra, ani matka, ani nikt inny z dorosłych nie mógłby jej zrozmieć, dlaczego by więc miała właśnie ta nowa, mała dziewczynka... Ledwie wstrzymałam drżące wargi.

Celka czekała pod lasem. Schodziłam do niej z nieśmiałą nadzieją: może wszystko jakoś odrobimy... I wtedy przyszło to niespodziewane.

— Ty — zawołała już z daleka niedobrym głosem — ty baw się sama ze sobą! Myślisz, że jestem dla ciebie do słuchania! — o jakas ty mądra, o jakas pękna! Ty jesteś niedobra i głupia wiesz i wstrętna, w ogóle wstrętna — powtarzała przedko, szarpąc mnie za rękaw sukienki i przysuwając coraz bliżej swą rozłożoną buzię do mojej zalanej łzami. Nie zważała na rozpaczliwe łkania, ani na obronne i rozmazane — to nieprawda, mówisz tylko nieprawdę.

Nazajutrz zagubiłam się mamie od wczesnego rana. Agrestowe krzaki były dobrą kryjówką. Nagle stanęła przede mną Celka — przyszedłam. Patrz co przyniosłam i włożyła mi do fartuszkę małego, pstrego kota.

Oh Celka! To ona wiodła nas do portu po kokos. Bo potem się okazało, że ma rodzeństwo i bawiliśmy się już wszyscy razem. Czerwone magazyny portu leżały niby tak blisko, gdy się je widziało spod lasu — tylko zeskoczyć ze wzgórze — a tymczasem trzeba było przejść przez szerokie pola, pokryte szynami, ciągnące się płasko, piaszczyście zda się wnet bez końca. Do dzisiaj we śnie unoszę zmęczone nogi nad tym polem, a z daleka syczy parowóz przed długim pociągiem i nie wiadomo jaki sznur szyn wybierze.

W porcie spoceni robotnicy rozprostowali napęte twarze i uśmiechały się do nas jak gdyby kwiaty zobaczyli. Dzeci. Celka podchodziła do nich śmiało, tak jak się do swajaków ludzi, jej tata też pracował w porcie. Tylko, że nie miał karty. Lecz historią karty to rzecz smutna, więc może wpięć o tym

co słodkie i dobre, o kokosie. Wracaliśmy z kieszonkami stwardniałymi od kokosowych skorupki. Coż można przyrównać do smaku miąższu dobytego spod ich gładkiej, brązowej powierzchni. Było w nim skondensowane ciepło południowych krajów, wędrówka okretu po milowych falach, cały kolorowy ruch i gwar portowy. Długo w jakimś zakamarku przywierałyśmy ustami do wklęsłości orzecha, za nim się w nie nie wgrzyziły nasze zęby.

Kiedy Celka powiedziała o kartce, zdawała się nieważna ta kartka portowa a to właśnie ona decydowała o tym, że ojcu Celki tak rzadko wolno było pracować przez całą dniem wysładywał obok stodoły, i mama Celki musiała pracować.

Niedaleko naszego jasnego domu stała rozpadająca się stodoła. Zakazano mi koło niej chodzić. Zawsze tam na wydeptanej trawie leżeli ludzie, o których nikt nie chciał dłużej mówić. Przemykałam między nimi szybko idąc do Celki. Nigdy nie unosili swych sflaczonych, zarosniętych brudem ciał, nie odwracali głów ubranych w obwisłe czapki, jedynie ich wzrok odprowadzał mnie ponuro i niechętnie. Przy tej strasznej stodołę, w małej chałupce służącej dawniej za chlew mieszkała Celka. Był to prawdziwy domek krasnoludków. Wdrapywało się stromą drabinką do niziutkiego wejścia, czyste i drobne miały okna szerokości dłoni i stare szafki jakby rozpęzniałe, bo bez nóg i sięgające sufitu.

Raz zastałyśmy Celkę matkę. Dała mi chleba ze smalcem niby swemu dziecku. Nie mogę sobie jej twarzy przypomnieć, jak gdyby jej nie miała, ale jej ręce... Modliłam się potem wieczorem, żeby mi Bóg nie dał takich rąk jak urosnę... Pokręcone guzowate palce prawie bez paznokci, łopacaste dłonie z czerwonego mięsa. Przecież to nie były już ręce!

Nie chcę dalej wspominać. — Wystano mnie na wakacje, a po powrocie, ze stodoły i obejścia nie zostało śladu, spalono je, jak się palił zawieszony brudny siennik. Celka z rodziną przepadła.

A jednak to nie koniec — spotkałam ją jeszcze.

W parę lat później, chodziłam już w granatowym mundurku, matka Amancja zatrzymała całą klasę trochę dłużej. Gdy w ten sposób zwracała się do nas z pokornym uśmiechem i oczami, które już, już a zapętniały się łzami, byliśmy zawsze zażenowani. Bo o cóż właściwie chodziło, o te parę zorebek mąki, czy cukru. Ale tym razem miałyśmy pójść z nią. Kroczyliśmy zatem za jej czarnym hanielem, sypkimi ścieżkami a że słońce grzewało, wokoło zieleniały łąki, więc coraz weselszą stawała się wycieczka.

Cel leżała daleko od miasta. Na opuszczonym polu wznosiło się coś w rodzaju pagórka z kawałków desek, beczek i papy. Z tego kerunku uciekał pies przed obdartymi dziećmi, wlokąc wnętrzności, z króliczą głową. W piaszczystym wykopie, stały zniszczone deszczem szafy bez nóg, a na nich się wspierał dach drewnianego rumowiska. Człowiek, jaki wyszedł z nory nawet nie wyciągnął ręki po nasze pakunki. Jego wykrzywione usta nie wypowiadały słów, które musiały być okropne. I wtedy z ciemności ukłuło mnie spojrzenie. Z trudem wyodrębniłam chującą twarz i wpatrzone oczy. Celka!

Irena Wnukowa

KONRAD HEL

# Scherzo nocne

Ściany obrosłe liśćmi wina  
witały lata smutny powrót,  
który rozstanie przypomina —  
niedawne scherzo, noc i ogród...

Zbliżeniem twoje oczy. Patrzę  
jakiś widziany wskrzeszam pejzaż.  
Powiedz czy można widzieć zawsze  
i czy to także czego nie znam?

Nocą ogrody pogodnieją.  
Nocy oczyma nie powtórzysz,  
a jednak noc jest. Czy nadzieją  
pogodny ogród możesz wróżyć?

Pewnie w pogodzie brak harmonii,  
albo chce stłumić ogród scherzo...  
Słyszysz? Melodia echo goni.  
Dla nas? A może innym sercem...

# Wiosna 1944

Od nocy każdej dłuższe szyny —  
trwanie przedłuża bliski pociąg.  
(Przecież sekundy jak godziny  
można na czacie liczyć nocą).

Zamarła woda szereg złącza,  
pragnie utrwalić szyk oddziału.  
Podobnie trudno zawrzeć w oczach  
przebłyski rakiet i wystrzałów.

Reflektor światłem pola grabił.  
Każdy cień chłonął — niewidoczni.  
Nie. Inność prosta jak karabin  
odgadywała swój czy obcy.

Słowiki głuszył szczeł „Bergmana”,  
samolot pętlę obłok chwycił.  
...Po to by saper na kolanach  
z pola ostatni zdjął niewypał...

# Rudzkie nadzieje

p. M. ROSTWOROWSKIEMU.

Ludzą jak szklanych pereł kolia,  
piękne legendy domów ze szkła...  
Chyba piękniejsza jest historia  
słońca u okien nowych mieszkań!

Historia ludzka rośnie z depeż,  
nieodwracalnych i surowych.  
Pozwała tylko rzeczy przeszłe  
osądzać dniom i ludziom nowym.

Planem zawartym w kalendarzu  
z którego skreślać dzisiaj nie czas,  
trzeba być przyszłą rzecz wymarzył.  
W marzeniu miłość jest człowiecza.

# Deszczowy rapsod

Chciałbym do Ciebie iść.  
Drogę rozgradza las...  
Jeśli nie przyjdę dziś  
czy będzie ten dzień nasz?

Iśćbym do ciebie mógł  
Powiedz tylko czy chcesz —  
las nie przegrodzi dróg,  
zbliżać nas będzie deszcz.

...Ulewą szept twój rósł.  
Ulewą szept twój gasł —  
gorącą pustką ust  
tłumacząc deszcz — nie nasz.

NOWOŚĆ

NOWOŚĆ

Sigrid Undset

OLAF SYN AUDUNA

tom II.

Cena Zi 38.-

Wysłać Biuro Sprzedaży Spółki Wydawniczej „PAX”,  
Warszawa, Mokołowska 43, po wpłaceniu należności na  
konto P.K.O Nr. 1-8515.



Jan ROSS

## ODPOWIEDŹ

**O**POWIADANIE Jerzego Stadnickiego „BADANIA DODATKOWE”, drukowane w nr-ze 24 „Dziś i Jutro”, posłużyło dr J. Rossowi za punkt wyjścia do jego interesujących rozważań o postawie moralnej i społecznej lekarza praktykującego na prowincji. Rozważania te ujęte są w formę listu do bohatera „Badań dodatkowych”. Nie pierwszy to już raz w dziejach piśmiennictwa fikcja literacka prowności fachowców do wypowiedzi. W danym wypadku ważna jest jednak nie tylko krytyka opowiadania z punktu widzenia fachowo-literackiego, ale również wpisana w wypowiedź dr Rossa jego koncepcja postawy lekarza-człowieka i lekarza-obywatela, tym ważniejsza, że oparta na osobistych doświadczeniach autora.

Autor jest przedstawicielem starszego pokolenia lekarzy, które swą pracę zawodową prowadziło w warunkach odmiennych od dzisiejszych.

W wypowiedzi swojej dr Ross zwraca właśnie uwagę na to, że bohater noweli Jerzego Stadnickiego nie docenia tych przemian, nie zauważa po prostu tego, co się w tym dawnym, prowincjonalnym Kółku dokonało. Przy tym, i to wydaje się najbardziej istotne, postawa młodego doktora z „Badań dodatkowych” zdaniem autora rzutuje się jakoś jaśniej w obecną rzeczywistość, zamazuje istotny stan stosunku lekarza do pacjentów.

Zdaniem siebie przecież sprawę z tego, jak wielką przesadą dzieli warunki pracy lekarza w okresie przedwojennego chaosu od obecnych, warunków zmierzających do planowego zorganizowania służby zdrowia.

Wydało się nam jednak, że wypowiedź ta jest właśnie tym cenniejsza, ponieważ pochodzi od kogoś, kto ocenia sytuację z perspektywy dwóch pokoleń.

Redakcja

## Mój Przyjacielu!

Nie obrazisz się chyba, że piszę do Ciebie tak wprost, lecz wydaje mi się, że rozmowa na tematy, które poruszyłeś w swej wypowiedzi, wypadła w ten sposób szczerzej i bardziej bezpośrednio. Obaj na tym możemy zyskać.

Jesteś młodym lekarzem, świeżo po dyplomie. Pracujesz na prowincji w miasteczku liczącym jakie 8.000 mieszkańców, a które nazywałeś Kółkiem. Wolno Ci i tak nie czujesz się tam dobrze. To widać. Lecz o tym później.

Zaczynałaś swoją opowieść przedstawiając się. Więc pozwól, że i ja zaprezentuję swą kartę wizytową.

Jestem starszym lekarzem, różni się o jedno pokolenie. Pracuję 27 lat w swym zawodzie. Pracowałem w różnych środowiskach, wiele w życiu widziałem, jeszcze więcej przeżyłem. Znam prowincję. Wyszedłem z niej, pracowałem w tym środowisku szereg lat.

Obecnie od 12-tu lat pracuję w podobnych warunkach jak Ty. Z tą różnicą, że w dużym mieście uniwersyteckim. Tak samo, jak u Ciebie, stoła codziennie przed moim gabinetem długie kolejki chorych, te same uprzedzenia, presje, co u Ciebie. Badam, zapiski, feruję wyroki: zdolny czy niezdolny. I to szybko, bo czas leci. Nie przeczę, że prowincja cierpi na dotkliwy brak lekarzy, lecz jak widzisz — i w dużym mieście nie ma ich w nadmiarze.

Tu muszę Ci wytłumaczyć przesadę, gdy idzie o pośpiech i tempo naszej pracy. Piszesz, że Twój kolega z Ciesiek ma w ciągu kwadransa załatwić osmiu pacjentów. Nie wierzę mu. Ciesiek to niecnota. Sam przychwylił go, jak podawał cyfry zgłoszeń na wizyty domowe czterokrotnie wzmaga, by wymągać się od pracy. Zamiast dwóch podawał, że ma ich osmiu. Przynajmniej w tym samym stosunku na, lecz korygując tego Cieska w tym, co mówi i co robi. Niestety, takich Ciesków jest dużo na świecie. I zawód lekarski nie może ustrzec się przed nimi.

Skarżysz się na różne trudności i brak. To i tamto szwankuje. Najgorzej sprawa z badaniami dodatkowymi, których brak najbardziej dale Ci się we znaki.

Tu zapewne zechcesz mi przerwać i pomówić: dobrze jemu tam w dużym mieście radzić i medykować. Siedzi w mieście uniwersyteckim, na zawołanie ma wszystkie badania i środki pomocnicze. Do dyspozycji szpital, kliniki. Żyje wprost w cieplarnianej atmosferze, a ja tu borykam się z trudnościami, walczę jak na froncie. Może nawet zrobisz pod moim adresem uwagę: „Łatwo Tobie bawić się w mentora”.

Cofnę się więc z mej obecnej pozycji na wsi do czasu sprzed 27 lat. Kiedy byłem, jak Ty, tuż po dyplomie. Teraz szanse wyrównania. Nieprawdaż? Tym razem nie wspomnę o trudnościach. W kilka miesięcy po dyplomie, a w trzecim miesiącu mej pracy w klinice położniczej objąłem na dwa

miesiące wakacyjne (lipiec i sierpień) zastępstwo lekarza Kasy Chorych w Stebniku Wiesz, kopalnia soli, niedza górnicza ze znaną ciemnotą i uprzedzeniami. Do regionu należało kilka wsi sąsiednich. W promieniu kilkunastu kilometrów ani jednego lekarza. Za mną trzymiesięczna praktyka kliniczna (tyle co nic), a przede mną wszystkie choroby, jakie zna medycyna i ogrom odpowiedzialności.

Plaszę, że w ciągu dwóch czy trzech miesięcy schudłeś trzy kilogramy. Wierze Ci. Byłem w tym czasie bardzo chudy, a na dobrą sprawę nie było z czego chudnąć. Zresztą nie ważyłem się. Jedno tylko wiem, że w ciągu mego dwumiesięcznego zastępstwa powodów do smutków, do udręki miałem bez liku.

**O**TO jeden z nich na samym początku mej pracy i praktyki w Stebniku:

Zgłaszają mi krwotok u ciężarnej w ostatnim miesiącu. Stwierdzam: placenta praevia. Słowo to napawa lekkiem wytrawnym specjalistów, gdy spotkają się na prowincji sam na sam z tym groźnym powikłaniem. W klinice, gdzie nie brak było wytrawnych asystentów, taki przypadek wywoływał lekki wstrząs. Zazwyczaj sam profesor interweniował. Tym razem krwotok — pierwszy groźny zwiastnik nieszczęścia — ustał, lecz żadne moje namowy i perswazje nie pomagały, by kobietę skłonić do spłata. Nie pojechała. W ciągu tygodnia kilka razy zachodziłem do kobiety (mieszkała obok) i ponawiałem perswazje, lecz na próżno. Uparła się i pozostała na moją udrękę. Przez tydzień żyłem pod grozą potwornego strachu Co będzie, gdy nadejdzie decydująca chwila i zawezwa, bym niósł ratunek? Czuję, że do tej roli nie dorosłem.

Wreszcie jednej nocy wzywają mnie. Ide z duszą na ramieniu. Krwotok ponowić się. Na szczęście po moim przyjeździe ustał i w ciągu najbliższych godzin sprawa skończyła się szczęśliwie bez mej pomocy.

W następnym roku spędziłem ferie wakacyjne jako lekarz sanatorium w Worochcie, rok później w Schodnicy. Schodnica — wieś, — ośrodek naftowy, najdalej wysunięty w teren podgórski. Dr Sławek, którego tu zastępowałem, był lekarzem punktu leczniczego (dawniejszej Kasy Chorych): nadto był lekarzem sejmikowym na obszarze kilkunastu wsi. Był jedynym lekarzem na terenie obejmującym około 40 km wzdłuż i 20 km wszerz. Rejon był przecięty rzeką Strwiąż i częścią na południe za rzeką leżała w górach. Na krańcach tej części okolica górzysta, niedostępna, bez dróg, słowem świat zabity deskami.

W tych zapadłych i niedostępnych miejscach żyli ludzie, chorowali i — jak wszędzie — czekali na lekarza. Rzadko go jednak widzieli. Na wyjazd w góry trzeba było stracić jeden dzień i to licząc od świtu do późnej nocy.

Codziennie zaś czekało kilka wizyt w sąsiednich wsiach, nie licząc tych na miejscu, w Schodnicy. Konie były do dyspozycji lekarza, lecz nie zawsze można z nich było korzystać. Gdy wypadło odwiedzić chorego w jakimś zakątku głębiej położonym w górach, trzeba było wóz zostawić i dalej iść pieszo. Nieraz szło się całe kilometry górskimi ścieżkami: nie rzadko robiło się małą wspinaczkę.

A dr Sławek? Zawsze pogodny, łagodny, ani cienia skargi u niego, chociaż życie, bądź co bądź, miało bardzo ciężkie. Jeszcze dwukrotnie w następnych latach zastępowałem dr Sławka. Pozostał zawsze ten sam Drogi nasze później rozeszły się. Nie widziałem go już więcej, lecz obraz jego, jako dobrego człowieka, mam w mej pamięci.

W Stebniku — sól, w Schodnicy — nafta. Lecz tu i tam sama bieda ludzka, niedza, choroby. Tylko pracy i utrapienia miałem więcej w Schodnicy, gdyż rejon kilkakrotnie rozleglejszy i bardziej zaludniony.

Za pierwszym pobytom miałem dwa wyjazdy do wiosek położonych najdalej w górach. Jak taka wizyta u chorego wyglądała? Oto krótki opis.

Zajeżdża w niedzielę wczesną rano furka zaprzężona w jednego konia. Zachorował bratanek chłopca w wiosce położonej w górach, a że ojciec nie miał konia, więc strwoił wypadło przyjechać z pomocą. Koń rosły, wóz całkiem przyzwoty, chłop rezolutny i wymowny, całość wcale dobre robi wrażenie. Na wózku dwa siedzenia z przymocowanymi desek. Tylnie przeznaczony dla mnie; na desce worek z siemem przykryty kocem. Zdecydowałem się jechać. Wprawdzie gospodyni doktora ostrzegła mnie, że dr Sławek po podróży w tamte okolice był kilka dni chory, ale nie usłuchałem. Byłem młody, przagnąłem poznać góry i ludzi, więc zdecydowałem się.

Zaraz po wyjeździe, chociaż droga była niezła, poczułem co znaczy siedzenie z desek. Worek z siemem to tylko przynęta dla mnie. Ślizgał się za każdym wstrząsem w lewo i prawo, a ja wciąż siedziałem na desce. Borykałem się z nim jak mój głem. Usunąłem go wreszcie, lecz wtedy było jeszcze gorzej. Położyłem go w dole na wozie i usiadłem na nim: też nie lepiej. A chłop się dźiał na desce jak na miękkim fotelu, jakby nigdy nie. Miał zaprawę i organizm jego musiał z czasem wytworzyć własne urządzenie smortyzujące wstrząsy. Widząc moją udrękę, gazda wreszcie przychodził mi z pomocą. Zdejmuje swój pas ze spodni, by nim przywiązać worek do deski. Trochę pomogło: już tak nie ślizga się. Odtąd jechało się niezłe. Lecz niedługo. Skończyła się zima i zaczęły się drogi górskie pełne kamieni i nierówności. Kilometrami jechało się tu korytami wyschniętych potoków. Wóz nie trząsał, lecz skakał jak opętany. Mowy nie było żeby usiedzieć. Wobec tego zsiada z wozu chłop i tu wytwarza się komieczna sytuacja: w jednej ręce bat, w drugiej lejca, a spodnie coraz niżej. Tego widoku nie zapomnę.

Podróż dalsza, trwająca ze dwie godziny, odbyliśmy pieszo. Wreszcie i to się skończyło, gdyż chłop zostawił konie u siebie na dole i dalsze dwa kilometry podprowadził mnie górskimi ścieżkami. Wreszcie dotarłem do chaty, gdzie miał być chory. A chory? Trudno uwierzyć: nie zastaliśmy go w domu. Chłopak nagle wyzdrowiał i gdzieś się zawieruszył. We mnie zawrzało z gniewu i oburzenia i wybuchnąłem, aż chała chodziła. Pomstowałem, ile wlaźło. Rodzice tłumaczyli, perswadowali. Nie chciałem słuchać. Zjawił się po dłuższym czasie wystraszony chłopak. U mnie nowa fala gniewu i oburzenia. Wreszcie ochłonąłem i zbadałem chłopaka. Nie znalazłem lekaralnie nic: zdrow jak ryba.

Wedle tego co mówili rodzice, chłopak, poprzedniego dnia wymiotował, wystąpiła silna wysypka. A że jednak, więc rodziców ogarnął strach, tym bardziej, że po przednio stracili kilkoro dzieci. Co było w tym przypadku, trudno dościec. Należało przypuszczać, że jakieś zatrucie czy też uczulenie pod postacią przełotnego obrzęku czy pokrzywki, dało frapujący obraz i obudziło przestraszonych rodziców.

Z tej eskapady wróciłem doprawdy chory. Przewidywania gospodyni dr Sławka sprawdziły się, gdyż przez tydzień czułem ten wyjazd.

**D**LA kontrastu przykład jak wygląda w praktyce wyżej wspomniana na dysproporcja w ocenianiu przypadków chorobowych przez lekarza i chorego lub jego otoczenia.

W jakimś czasie po tej eskapadzie zgłasza się do mnie chłop z położonej obok wioski, aby przepisać jego synowi, kilkunastoletniemu chłopakowi, lekarstwo. Nic go nie boli, nie ma tylko apetytu, ostatnio wymiotuje. Wystarczą krople lub coś na przeczyszczenie. Nie zgłasza wizyty domowej i dziwi się, że tak skrupulatnie wypytuję go o bliższe dane. Jest zdumiony, gdy zapowiadam odwiedzić go w domu.

Pojechałem nie tego dnia, lecz następnego. Zastaję stan rozpaczliwy. Chłopak nieprzytomny, zupełnie zamroczone, oddech ciężki, toksyczny: w nocy szereg ataków drgawek. Chwile są polężone. Jeden rzut oka na chorego wyjaśnia sytuację i pozwala na diagnozę. Na dłoniach widać złuszczenie się naskórka całymi płatami. To samo na skórze tułowia. A więc skarlatyna, a jako komplikacja zapalenie nerek i tragiczny finał: mocz nieca. Długo się nie namyślałem. Należało zrobić upust krwi. Żadną od ojcę brzytwy (skorpiel miałem wprawdzie ze sobą, lecz wolałem brzytwę). Chłop wyjmuję ją z ociąganiem, patrzac nieufnie. Gdy wyjaśniam, że idzie o upust krwi, twarz mu się zaraz rozjaśniła i skwapliwie mi ją podaje. Ludzie na wsi lubi taką kurację. Po szybkim przygotowaniu a głębokim namyśle, gdzie ciąć, nacjąłem. Nic. Nieco krwi pokazało się i koniec. Ponawiam próbę w innym miejscu: to samo. Pot mi wystąpił na czoło, czuję jak krew tętni w skroniach i zawahałem się. Matka stoi obok i lamentuje, by syna zostawić w spokoju, nie męczyc i dać mu spokojnie umrzeć. Słyszę charczenie chłopca i coraz dłuższe przerwy w oddechu. Decyduje się po raz trzeci. Jeszcze raz dokładnie obmacuję miejsce typowe dla przebiegu żyły łokciowej i tę. Równocześnie trysnąła krew w twarz i odetchnąłem. Łała się cienką strugą, zrazu silniejsza, po pewnym czasie słabsza, aż napłynęła zwyczajną szklaną kę po brzeg.

Matka z boku stała i lamentowała, czy nie za dużo tej krwi. Chłopak miał wprawdzie tylko lat 14, lecz był rosły, ponad wiek rozwinięty, więc mogłem pozwolić na większy upust. Ojciec trzymał moją stronę. Po zabiegu — mimo zastrzyków — nic się nie zmieniło. Po godzinie zdawało się, że oddech stał się regularniejszy, charczenie mniejsze. Wiele istniała iskierka nadziei. Odjechałem. Przed odjazdem zaleceń, by chłopcu — gdy odzyska przytomność — dać pić tylko czystą wodę ze studni, a o brze ocukrzona z dodatkiem kropli (kofeiny). Więcej nie.

Następnego dnia wpada ojciec i zgłasza, że chłopak w nocy odzyskał przytomność i bardzo chce pić. Przebiskuję mu znowu to samo, tyle co podaje dokładnie, ile czego ma być. Co trzy godziny pół szklanki wody osłodzonej lyżeczką cukru z dodatkiem pięciu kropli lekarstwa. Tylko tak, a nie inaczej — i to przez trzy dni. Nie mogło się zmniejszyć w głowie ojca, by na samej wodzie można było trzymać chorego przez trzy dni. Wiele podsuwał mi, czyby nie można dodać trochę mleka, może jajko lub reszot z kury. Trudno wytłumaczyć ciemnym i nieświadomym ludziom, że to ciężka niedomoga nerek, organizm zatruty i tylko głodówka może uratować chorego.

W krótkiej mej praktyce na wsi, zdobyłem już to doświadczenie, że daremne są wszelkie wykłady i perswazje. Chłop wysłucha, lecz swoje zrobi. Tu lekarz musi się czasem uczyć do fortelu. Na obiekcie chłopca co do wody krótko odrzekłem: „A krople to nic? One ratują wam chłopca. Nie znoszą one w tym czasie innego pokarmu tylko wodę z cukrem”. Na poparcie ważności mej wypowiedzi, dałem mu zakraplacz, by skrupulatnie odmierzają krople. I uwierył chłop w cu downe krople, ze czcią spojrzął na flaszkę i schował ją jak relikwie. Byłem przekonany, że tym razem wypełnią me polecenie.

Po trzech dniach odwiedziłem chłopaka. Już na wstępie ojciec zaczął narzekać, jak to trudno przychodzi mu ochronić syna, by żona nie wzięła go na swoją dietę. Nie mogła patrzeć, jak chłopak męczył się, a zwłaszcza, gdy trzeciego dnia zaczął odczuwać głód. Chłop babie zagroził biciem i tym razem moja kuracja zwyciężyła. U chłopaka porawa nadzwyczajna. Robił wrażenie zdrowego. W moczu niewiele białka, wydzielenie dobre. Przepisałem dietę i odjechałem.

Za kilka dni ojciec miał dać znać o stanie chłopca, lecz nie zjawił się. Myślałem często o chłopcu i to z obawą, czy baba nie wzięła go na swoje leczenie i mój trud nie poszedł na marne. Może w dwa tygodnie później zjawia się u mnie rosły chłopak o miłym spojrzeniu, twarzy cherubina, boso, w płócianych spodniach, słemiany duży kapelus na głowie. W ręku kij, równy z głową. Całość tak sympatyczna, ujmująca, niecodzienna: prawdziwy posterz biblijny. Nie poznałem go z początku.

Był to mój chłopak z uremją: przyszedł podziękować.

**N**ASTĘPNE trzymiesiączne wakacje spędziłem znowu na zastępstwach.

Tym razem Borysław, Drochobycz i znowu Schodnica.

W tym roku miałem w Schodnicy przygodę, którą omal nie przypłaciłem życiem. Wielką powódź nawiedziła wtedy te okolice. Rzeka Strwiąż wzięła, zniszczyła most pod Kropiwnikiem, prom obok zniósł i okolice górskie na południe od rzeki były z górą tydzień odcięte od Schodnicy. Później woda opadła i przepłynęła się przez Strwiąż. Z takiej przepawy kilkakrotnie skorzystałem i szło dość gładko. Dwóch doświadczonych przewodników przepłynęło łódz przy pomocy wysokich żerdzi. Rzeka była rwąca, lecz stosunkowo płytka i żerdzie wystawiały przeszło metr ponad głowy przewodników.

Miałem chorych zgłoszonych w wiosce za rzeką, więc wybrałem się w niedzielę. Naprzód jechała końmi, jakie sześć do siedmiu kilometrów, a później czekała przepawa przez rzekę. Przepawa w tamtą stronę poszła gładko. W czasie, gdy wylotywałem chorych, spadł ulewny deszcz: rzeka znacznie przybrała, rozlała się szeroko i wyglądała dosyć groźnie. Przewoźcy jednak zapewniali, że rzeka w tym miejscu jest szeroka lecz płytka i nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Zdecydowałem się jechać. Z początku szło bez przeszkód, jak poprzednio. Gdzieś w połowie rzeki silniejszy napór wody zniósł nas jakie dwieście metrów na bok i tu zawisło nad nami groźne niebezpieczeństwo. Trafiliśmy na głębokie miejsce (jakie często tworzą się po powodziach w korycie rzeki) i żerdzie zaczęły coraz bardziej zanurzać się w wodzie. Mowy nie było, by móc oprzeć się o dno rzeki. A bystry nurt spychał nas coraz szybciej w dół rzeki i w kierunku zerwanego mostu, gdzie sterczące bale i drzewa stworzyły zaporę spietrzającą wodę. Huczało tam i grzmiało jak przy wodospadzie. Tam się dostać — to niechybna śmierć.

Przeżyłem wtedy chwilę, których nie zapomnę. Jechaliśmy tak jak później zdołałem stwierdzić — z górą kilometr. Woda zaczęła się przelewać do łodzi. Siedziałem na pół przytomny ze strachu. Czuję naprzód gwałtowne bicie serca, później nic. W głowie zrobiła się jakaś pustka. Potworny strach rozmył kontury świata. Przed oczyma tylko szumiące fale, a od czasu do czasu majaczyły ruchy przewodników. Za chwilę odzyskuje przytomność. Widzę jak żerdzie przewodników podchodzą coraz wyżej, jak jeden z nich oparł ją o dno i spycha łódz z nurtu do brzegu. Drugi idzie mu w pomoc i wreszcie wyprowadzają ją na płytkie miejsce, jakieś 200-300 metrów od szczytków zburzonego mostu. Jeszcze chwila i przybijają do brzegu. Jeden podał mi rękę, pomaga wejść na brzeg i mówi: „Prawda, dobra była jazda”.

W tym samym roku musiałem stoczyć w Schodnicy oprócz wal-



# LEKARZA

ki z chorobami, jeszcze jedną walkę i to może najcięższą. Walkę ze sobą. Była to jedna z najtrudniejszych i zdawało się, że ją przegram. Słusznie podnosił Goethe trudności takiej walki. Szło w niej o znalezienie i przyswojenie sobie kryterium postępowania lekarskiego w stosunku do tzw. przykrych pacjentów.

Natknąłem się wówczas po raz pierwszy na takiego, który mógł doprowadzić lekarza do desperacji. Dr Sławek, którego zastępowałem miał go dosyć. Ten człowiek o gołębim sercu, mówił że nie może sobie z nim poradzić.

Nazywał się Kamerman. Każdy lekarz w swej praktyce natrafia na podobnych pacjentów. Lecz nigdy nie spotkałem kogoś, kto mu dorównał: w udręczaniu lekarzy był niezrównany. Twary orzech miałem do zgryzienia. Oto pacjent: rencista lat około 45. Poprzednio leczył się przez szereg lat u różnych specjalistów. Znalazł go liczne szpitale i kliniki. Wszystkie zapiski dotyczące leczenia zbierał skrupulatnie. Historia jego choroby to spory fascykul, a że skrupulatnie, niczego tam nie zabrakło. W końcu zoperowano mu wrzód żołądka. Dolegliwości jednak nadal pozostały. Twierdził, że nawet spotęgowały się. Podejrzewano też zrosty otrzewnowe.

Ile w przypadku Kamermana, było cierpienia uwarunkowanego zmianami organicznymi, a ile urojenia - trudno dociec. Czy cierpiał ciało, czy psychika dla niego było to obojętne. Ważne było że cierpiał i stał się przykrym pacjentem.

Ostrzeżony w czas przez dr Sławka przestudiowałem pilnie historię jego choroby i byłem przygotowany na przyjęcie okładowego malkontenta. Po kilku dniach złożył wizytę i, jak zwykle, zaczął od swych żołądkowych dolegliwości. Zbadałem go szybko. Po zbadaniu zagadnął: „czy przejrzałem jego historię choroby?“ W jego oczach jeszcze szybciej przewertowałem napełnioną do grubości dobrego tomu historię choroby i przepisałem lekarstwo. Był opanowany, poprawny, niczym nie zdradzał, że jest ze mną niezadowolony. Wyczuwałem tylko instynktownie, że moje badanie i małe zainteresowanie jego chorobą nie poszło mu w smak. Wyczuł, że chce go jak najprędzej pozbyć się. „Co pan myśli o mojej chorobie?“ Wycięto panu część żołądka odpowiadam: „tak, jakby amputowano Panu nogę. Mógłby Pan chodzić, lecz dużo gorzej. Tak samo z żołądkiem. Jest po operacji słabszy i z tym musi się Pan pogodzić.“ „A jak leczyć?“ - pyta. Odpowiadam krótko: „Dieta, a na bóle - oto proszki!“ - podaję mu receptę. „One pomogą?“ - zapytuje. „Tak, pomogą!“ - odpowiadam. Bierze receptę z wyraźnym lekceważeniem, czuje że jest mocno niezadowolony. Pozostaje jednak zimny, opanowany i spokojnie wychodzi. Odetchnąłem z ulgą: Może się obrazł i więcej nie przyjdzie - pocieszam się. Wieczorem dzielię się moimi przyniesionymi z dr Sławkiem. „Tak, taktykę obrabiliśmy niezłą - konkluduje dr Sławek - lecz, czy pomoże?“

Mineło parę dni - Kamermana nie ma. Zdawało się, że jestem górą. Aż tu, o zgrozo, przychodzi Kamerman. Tak samo zimny, poprawny. „Proszki n'c nie pomogły - komunikuje na wstępie - czułem się po nich nawet gorzej, gdyż bóle rozszerzyły się na cały brzuch.“ „To nie z proszków“ - rzucam. Lecz zaraz słyszę odpowiedź: „Powiedzieliśmy: po proszkach“. Jest inteligentny, logiczny, zimny. Czuje, że opanowuje mnie gniew, pasja. Hamuje się jednak: badam go i zapytuję wprost: „Leczy się Pan już całe lata, był Pan u różnych najlepszych specjalistów. Powiedz mi Pan, co Panu robi najlepiej, więc to przepiszę.“ Ide na widownię kompromis z Kamermanem. Jednak ten go nie przyjmuje. „Różne leki mi przepisywali - odbowiada - lecz nie mi pomagali. Może Pan doktor wymyśli coś skuteczniejszego.“ Przepisuje lek i wręcza receptę. Znowu pyta: „Czy pomoże?“ Nie tak już pewnie jak za pierwszym ra-

zem odpowiadam: „Przypuszczam“. Nie dość tego. Na odchodnym robi uwagę: „Pan doktor mówił, że z moim żołądkiem to tak jak z amputowaną nogą. Wiem, że mój żołądek po operacji jest słabszy, zgadzam się na dietę. Lecz amputowana noga nie boli, a mnie boli.“ Tu mnie wziął: Czuje, że już nie wytrzymam dłużej. Przyszedł, by się na mnie mścić. Nie tylko na mnie, lecz na całej medycynie, by pokazać jej całą niemoc. Burza szaleje we mnie, lecz hamuję się. Widzi Kamerman, co się dzieje ze mną, i wychodzi jak zwycięzca. Tak - jak zwycięzca nadę mną i nad medycyną.

Jako student i jako młody lekarz wysoko stawiałem możliwości medycyny. Mówiono nam w ciągu studiów o jej sukcesach, mniej o jej niedostatkach. Kamerman był tym, który pierwszy pokazał jej niemoc, otworzył mi oczy na to, że osiągnięcia medycyny mają swoje granice - i to dość wyraźnie nakreślone. Pozostaje na boku dużo chorób, co do których jesteśmy bezsilni. Ten margines chorób nieuleczalnych dzięki niezwykłym postępom nauk przyrodniczych, a między nimi medycyny, z roku na rok wyraźnie się zważa. Lecz wydaje mi się, że nigdy całkiem nie zniknie.

Chorym, którym nie możemy pomóc fizycznie, staramy się użyć psychicznie i gdy zauważa lekarzowi, możemy osiągnąć zadziwiające wyniki. Umieć i mieć możliwość zadziać na psychikę chorego człowieka - to potężny środek leczniczy. Kamermanowi nie pomagały żadne leki, gdyż stracił zaufanie do lekarzy i medycyny. Sądzę, że psychoterapią również u niego niewiele można by wskórać. Bo ten pacjent w nikogo i w nic nie wierzy. A taki - i jako pacjent jest najgorszy.

Następne wizyty Kamermana stały się dla mnie prawdziwą udręką. Samo wejście jego wstrząsało moją psychiką do głębi. Kamerman jednak był zimny, spokojny, więc i ja musiałem się trzymać w ryzach. Kosztowało to mnie dużo. Ale w końcu rozgryzłem ten problem. Jak się to stało? Podam w krótkości:

**W**ZIALEM się nie do Kamermana, lecz do siebie. Zaczęłam rozumować: przecież ten człowiek nie przychodził, być drwić, lecz on cierpi. Bądź co bądź przeszedł ciężką operację, może mieć zrosty, które dają dolegliwości, więc cierpi. Cierpienie jego może być jest proporcjonalne do zmian organicznych, lecz czy ta relacja jest stale zachowana? Przecież nie: raczej rzadko. Przecież tu w grę wchodzi psychika, a ta reaguje różnie: nie przestrzega proporcji. Tak stawiając sprawę, innym okiem zaczynam patrzeć na Kamermana. Słowa jego choroby dotykały człowieka, który cierpiał. Ostrość mego spojrzenia łagodziła i tak zacząłem odnosić zwycięstwo - nie nad nim, lecz nad samym sobą. By leczyć, nie tylko należy poznać chorobę, lecz i człowieka. Przynajmniej starać się o to, by poznać jego osobowość i nastawienie do choroby, do lekarza, warunki życia.

Po takiej metamorfozie duchowej, najbliższą wizytą Kamermana trwała dłużej. Niechęć moja ku niemu znikła. Zaczęłam się go wypytywać o stosunki domowe, materialne, jak myśli się urządzić w przyszłości, gdyż rentę otrzymywał niewielką. Pacjent był wprost zaskoczony moim zachowaniem się, jakby zbity z tropu. Czułem, jak skorupa lodu, grubo pokrywająca jego psychikę, zaczęła tajać. Powiało między mną a nim jakimś ciepłem. Za następną wizytą Kamerman zaproponował mi sam, żebym mu przepisał jedno z tych lekarstw, które mu najbardziej pomagały. Chętnie przepisałem. Do końca mego pobytu w Schodnicy był jeszcze kilka razy u mnie. Za każdym razem okazywał mi życzliwość. Rozstał się z żądzie.

Opisałem obszerniej, jak wyglądał mój stosunek do chorego tak zwanego „przykrego“. Znaleźliśmy kryterium postępowania z takim chorym nie przyszło mi łatwo. Dużo cdczuwałem oporów

wewnętrznych, lecz w końcu po ciężkiej walce przezwyciężyłem się. A miałem do czynienia z jednym z najbardziej przykrych pacjentów, jakich w życiu poznałem.

A Twoje odnośnienie się do chorych? Muszę Ci tu wytknąć nie jedno. Wypowiedź Twoje na ten temat zasmucyła mnie bardzo. Piszesz z talentem, masz pióro lekkie, lecz nie nie upoważnia Cię, by stosunek swój do chorych traktować lekkomyślnie. Jesteś młodym lekarzem, tuż po dyplomie. Omawiasz sprawę pracy lekarza na prowincji z jej różnorodną problematyką, dotyczącą warunków tej pracy i stosunku do chorych. Równocześnie dajesz obraz środowiska, w jakim żyjesz. To wszystko widzisz w jakiejś dziwnej i fałszywej proporcji. Sprawę traktujesz lekko i arbitralnie, aż ogarnia mnie zdziwienie. Skąd ta śmiałość u Ciebie, by tak z ręki od ręki ferować wyroki w sprawach wymagających doświadczenia nie tylko lekarskiego, lecz i życiowego. Zarzuty moje są ciężkie, lecz inaczej nie mogę.

Nie dość na tym. Lekko też bierziesz swój stosunek do chorych. Zgłasza się do Ciebie chory, co prawda jeden z tych „przykrych“, co ma już gotową diagnozę i od razu dysponuje leżeniem u innego lekarza, który stwierdził schorzenia wątroby. „Inny lekarz nie mnie nie obchodzi“ - mówisz pacjentowi. Rozpoznajesz u niego n'czyż żołądka, skierowujesz „typa“ na sondowanie żołądka“. Takie są Twoje słowa.

Co rozpoznaj inny lekarz, to jest ważne. Nie można, kierując się zarozumiałstwem odrzucać i priori diagnozy. A może dużej obserwował chorego, a może jest doświadczeńszy i więcej umie od Ciebie? Tak nie można. Tu przecież idzie o dobro chorego. Dalej nazywasz chorego „typem“. Na takie określenie żadną miarą nie mogę się zgodzić. Na gorąco, w krótkich spościach, które są czasem nieuniknione między lekarzem a chorym - zależnie od temperamentu i sytuacji - różne nieraz bywało. Słownik wzajemnych oskarżeń i epitetów używany w zapalczywości czy gniewie może być nawet bardzo bogaty. Jesteśmy przecież tylko ludźmi. Lecz nazywanie tak na zimno chorego „typem“ budzi we mnie jakiś wewnętrzny opór, brzmi jakoś obco. Słowem nie pasuje do nas, lekarzy. Przecież „ten typ“ - to człowiek cierpiący. Tak nie można patrzeć na chorego.

Odrzucając diagnozę drugiego lekarza, nawet jej nie rozważywszy. Taki jesteś pewny swych wiadomości? Czy nie zanadto ufasz sobie?

**A**LBO inny obrazek. Jesteś w poglągu: razem jedzie matka z chorą córeczką do neurologa. Dziecko nagłe straciło mowę. Choroba budzi zainteresowanie i współczucie u jadaćcych. Stąd różne rady - i jak zawsze, nie mogło się i tym razem obejść, by któraś z kobiet nie zaleciła matce zachora. Biedna kobiecina skrupulatnie wypytuje o szczegóły i zapisuje jego adres. W poglągu nie interweniowałaś, lecz w opowiadaniu zwymyślałaś nieszczęśliwą matkę co się zowie.

Lecz czy miałeś słusność, aż tak wymyślać? Czy jesteś pewny, że w tym przypadku neurolog musi dziecku pomóc? A jeśli nie? Mało okazujesz wyrozumiałości dla tej matki, mój Przyjacielu. Innym razem odwiedzasz w domu na wsi ciężko chorą starówkę. Przed tym był ksiądz, później Ty spełniasz swe ostatnie obowiązki. Płac, lament dookoła. Umierającej chcą podać gromnicę. Ty zabraniasz, by chorą nie demerlować. Nagle umierająca s'ada na postaniu i woła, by podano jej gromnicę. Aż dziwisz się skąd tyle siły nabrala. Podaj ją. „Znała patos chwili“ - robisz uwagę. Znała patos chwili. Hm, można i tak. W zbyt ciasnych wymiarach

umieszczasz człowieka, mój Przyjacielu.

A teraz coś z Twej praktyki. Zostałeś wezwany na wieś, by udzielić pomocy oparzonemu na skutek pożaru. Jedziesz karetką pogotowia i co? Nie możesz udzielić należytej pomocy: usunąć piątów oparzonego naskórka, bo zapomnieliście zabrać nożyczek. Oflarowują Ci na miejscu duże, tępe, lecz - jak wyrażasz się - nadają się one raczej do obcinania końskich ogonów. Brak w dodatku światła, nie masz perhydrolu. Więc biadasz i utyskujesz. Nie ma komu robić na wsi dalszych opatrunków. Wypadało by ci przyjechać za dwa - trzy dni. Lecz czy nie masz czasu czy ochoty, o tym nie piesz. Tylko zdobywasz się na wypowiedź: „Nie cacie być Judymem“. I na tym kończysz.

Tu, mój Przyjacielu, przeholowałeś - i to dobrze. Gdzie tu miejsce na judymostwo - choćby nawet w przybliżeniu? Brak Ci umiaru, dystansu i proporcji w ujmowaniu spraw. Przede wszystkim proporcji.

Nożyczki powinneś mieć i to nie te z instrumentarium Pogotowia, lecz własne. Pomyśl tylko: jedziesz karetką Pogotowia, jest lekarz, sanitariusz, szofer, auto, benzyna. Z daleka słychać sygnał karetki: ludzie z drogi, wszystko z drogi. Pogotowie jedzie. Gasić wprawdzie nie pożar, lecz cierpienie ludzkie i nieszczęście. I cóż? Wszystko jest, tylko brak drobniaku: nożyczek. Przecież to groteska. Brak Ci nie tylko proporcji w spojrzeniu na świat, lecz i poczucia humoru.

W pierwszych latach po dyplomie, kilkakrotnie wyjeżdżałem w czasie ferii wakacyjnych, by zastępować na prowincji kolegów lekarzy w czasie ich urlopow. Oto miejscowości: Stebnik, Worochta, Stebnica, Boryslaw, Drohobycz, znowu Schodnica, Śląsk. I tak przez osiem lat mej pracy szpitalno-klinicznej.

Zapytasz się o powód moich corocznych wakacyjnych eskapad w różne strony kraju. Odpowiem: bieda mnie do tego zmuszała. Pochodzę z biednej rodziny. Ojciec zmarł, gdy miałem niespełna dwa lata. Matką i mną zapiekował się starszy brat, nauczyciel na wsi. Pensja początkującego nauczyciela niewielka, bieda duża. Pierwsze lata nauki na wsi, później w sąsiednim miasteczku. I jak? Pół roku na marnej stacji, a pół roku wiesną i jesienią chodziłem do miasteczka pieszo. Dla chłopca jedenastoletniego 10 km tam i 10 km z powrotem to wcale nie mało. Później gimnazjum. Od trzeciej klasy utrzymywałem się dzięki lekcjom sam. Na medycynę też. Lekcje, pomoc brała nie wystarczała. Jako młody lekarz przez cztery lata pracowałem w klinice i w szpitalu za darmo. A żyć trzeba było. Stał moje wyjazdy wakacyjne na zastępstwa. Z początku wyjeżdżałem na dwa, trzy miesiące, później, gdy przyszła asystentura, na miesiąc. W ciągu dalszych czterech lat dzięki posadzie asystenta zyskałem trochę skromnie, lecz wystarczające środki materialne. W miarę lat pracy nabrałem doświadczenia, pojawiły się pierwsze prace naukowe ogłoszone drukiem. Jedną wyróżniono na konkursie. Profesor zachęcał do dalszych prac, z których kilka było na warsztacie; w perspektywie najbliższych lat może habilitacja. Sugestia w tym kierunku wyczułem u profesora. Aż tu nagle zmiana: profesor idzie na emeryturę, a następcą zaledwie kilka lat starszy ode mnie, stwarza warunki pracy tak nieznosne, że rezygnuję z asystentury. Rozwiewała się moje nadzieja i przechodziłem na chirurgię, by po półtorarocznej pracy objąć kierownictwo na prowincji.

**C**ZY sądzisz, że ta nagle zmiana i niepowodzenie w moich planach życiowych zlamaly mnie psychicznie? Bynajmniej. Ani na chwilę. Zapadł do pracy pozostał, prowincja wcale mnie nie przerażała. Zdawałem sobie sprawę z trudności pracy i życia na prowincji, lecz to wszystko lekko wałem na dalszym planie. Byłem nie tylko pogodzony z losem, lecz co więcej byłem pełen entuzjazmu dla mej pracy, gdy objąłem szpital powiatowy w Kępnie, gdzie spędziłem z górą siedem lat. Wymierzałem z mej pracy, ze stosunków z ludźmi jak najlepsze wsnomnienia. Zostawiłem tam nie tylko kilka lata mej ciężkiej i odpowiedzialnej pracy, lecz i reszta pacjentów, wielu znajomych, a także przyjaciół.

Gotów jesteś zapytać: chyba gładko mi wszystko szło, trudnośiż żądnych, że tak mile wspominam te czasy? Nie, Przyjacielu. Trudności i kłopoty były - i to nie byle jakie. Na dobre - tu się one dopiero dla mnie zaczęły. Miasteczko niewielkie, jakie 8 tysięcy, szpital jeszcze mniejszy (na 40 łóżek) lecz kłopoty wielkie. Materiał chorych różnorodny, dużo przypadków operacyjnych. Rocznie około 300 operacji, z tego połowa brzusznnych. Byłem jedynym lekarzem w szpitalu, kilka siostr do pomocy. Rocznie około 50 przypadków różnorodnych złamań kości. Roentgena nie było i tu trudności wyłożyły się największe. Bez Roentgena leczyć złamania wydać się może niemożliwością. Lecz tu się pokażo, co może wydobyć z człowieka życie. Chłopa, ze zlaną nogą czy ręką przywiezionego do szpitala w żaden sposób nie można było namówić by udał się gdzie indziej do większego szpitala. Gdy mówiłem, że go nie przyjmę, groził, że pojedzie do domu i sam się będzie leczył. A że chłop uparty, więc ustępowałem.

Z początku skóra na mnie cierpiała, gdy zabierałem się do leczenia złamań bez kontroli Roentgena. Dużo w tym czasie czytałem i pracowałem nad sobą. Znajomość anatomii, fizjologii, patologii i cały arsenał sposobów leczenia miały mi zastąpić Roentgena i częściowo zastąpiły: jakoś szło - nawet niezle. Tylko kilka złamań rocznie odsyłałem gdzie indziej, resztę załatwiałem sam - i to nawet przypadki ciężkie. Dopisywało mi szczęście.

Jak szło na ogół?

W pracy codziennej, jak zwykle, obok zwyczajnych osiągnięć kłopoty mniejsze i większe. Od czasu do czasu dochodziły jednak ciężkie niepowodzenia i klęski. Te wstrząsały psychiką, burzyły spokój, zdawały się nabierać niejednokrotnie cech osobistego nieszczęścia.

W Kępnie byłem do sierpnia 1940 roku. Ze strony Niemców były pewne sugestie, które z miejsca odrzuciłem. Os'adłem w Krakowie. Po pół roku posada lekarza domowego.

Praca inna, ograniczona do samej interny, lecz tak samo ciężką, bo rejon duży, a chorych jak zwykle, nie brak. Najwięcej zaczęły mi się dawać we znaki wizyty domowe (przeciętnie pięć dziennie) 20 pięć dziennie - to nie bagatela. Tak mijają lata. Serce zaczęło się wreszcie buntować, że nie podoba. Obecnie pracuję nadal w Ośrodku Zdrowia. Praca ta sama, tylko już bez wizyt domowych. Przeciwnie nim serce moje założyło swe zdecydowane veto. Nauki przyrodnicze, a z nimi medycyna idą w szybkim tempie naprzód. Trzeba więc było nie tylko uzupełnić braki, lecz wiele poświęcić pracy i trudu, by nie pozostać w tyle.

A teraz wracam do Ciebie, mój Przyjacielu.

Z Twoich wspomnień przebiega niechęć do prowincji. Miasteczko ośmio tysięczne gdzie jest szpital, kilku lekarzy - zapewne i szkoły średnie - nazywasz Kępnowem. Czujesz się jakoś obco, jak na wygnaniu. To widać. Prowincja Ci się nie podoba. To Ci wolno. Lecz nie wolno Ci jej postopnować, wyrażać się o niej, jej ludziach, stosunkach lekceważąco, tonem wyższości. Nie Cię nie upoważnia do tego. Jesteś młodym lekarzem tuż po dyplomie. Uszczyknałeś nieco medycynę, dotknąłś zaledwie życia skrzydełkiem, a już ferujesz wyroki na to i na owo - i to całkiem z wysoka. Na wszystko co się dzieje i co Cię otacza, patrzysz jakoś dziwnie. Dużo widzisz jak w krzywym zwierciadle.

I tak: babki i prababki - piesz - ustępują ci miejsca. W RKU, MRN, czy też PTD przyjmują Cię poza kolejką. Pielegnarka podsuwa Ci papier do podpisania z pokorną miną. Dlaczego, aż tak? Kelnerka, gdy się zjawisz w kawiarni w lansach przybiega by Cię zaraz obsłużyć, aż Cię to żenuje. Słowem cały prowincjonalny świat kreję się kłó Twej osoby. A przecież ludzi z wyższym wykształceniem powinno być w tym miasteczku jakie pół setki.

Skąd to właściwie wszystko wzięło? Chyba nie z tego świata, w którym żyjesz Ty i ja. Znam go dobrze. Nic nie pasuje do niego z tego co piszesz. A może opisujesz świat fantastyczny i to wszystko jest wytworem Twej wyobraźni. Wolno Ci i tak, lecz wprzód powiedz, abśmy o tym wiedzieli.

Na zakończenie mała rada, młody Przyjacielu:

Otocząc leczyć chorych musz wejść w ich położenie. Zamień się z nimi rolą, choć na chwilę. Kolejki rosna, pacjenci czekają, więc na długo nie można. Lecz tak choćby na minutę, dwie, a wiele pojmiesz i zrozumiesz. Nie tylko swych chorych, lecz otaczający świat i ludzi.

Ian Ross



# NIEWOLA I NIEDOLA CZARNYCH

Na to Tom:

„Panie, czy nie służyłem ci wier- nie od pierwszego dnia twego ży- cia? Jakżeby mógł teraz oszukać cię i b y ć c i n i e p o s ł u - s z n y m”.

Tak, Tom jest posłuszny. I to wła- śnie jest niezmiernie charakterysty- czne, że posłuszny Tom jest głównym bohaterem powieści pani Harriet, a nie nieposłuszny, gwałtowny Jerzy, za którego p. Harris (z ł y p a n) wyznaczył 400 dolarów nagrody.

Pani Beecher Stowe odważnie i z dużym jak na swoje czasy realizmem maluje nędzę życia niewolników, da- je wstrząsający obraz publicznej sprzedaży i licytacji niewolników, gdzie człowiek jest zwykłym t o - w a r e m, gdzie nikt nie liczy się z uczuciami, z miłością macierzyń- ską (historia starej Hagar i jej syna Alberta, czy historia Kory, która po sprzedaniu jej dziecka — topi się). Pełen grozy jest opis plantacji Le- gree'go. Dla dzisiejszego czytelnika na suwają się tragiczne analogie. Planta- cja Legree'go ze swymi tresowanymi psami gońcami, które żywcem roz- szarpały uciekającą Molly, z obława, z zezwierzconymi nadzorcami Quim- bo i Sambo, z opętaniem okrucień- stwem, wódką i strachem właścicie- lem, z pracą ponad siły aż do śmierci z wyczerpania — przypomina hitle- rowskie obozy śmierci.

Rozpacz niewolników w obliczu ży- cia bez nadziei, w obliczu udręki bez kresu wybuha gwałtownymi bluźnier- stwami. Są to akcenty w powieści pi- sanej przez pobożną córkę pastora dość niespodziewane:

Kassy: „Co, ty tu wzywasz Boga? On ciebie nie słyszy. Jeżeli mieszka na niebiosach, to zapomniał o nas i nie dba o nasze cier- pienia”.

Jerzy: „I cóż mi pomoże wiara chrześcijańska, jeżeli tylko niesprawiedliwości i prześladowań doświadczam. Dlaczego Bóg chrze- ścijan pozwoli złym ludziom krzyw- dzić bezbronnych?”

Tak, to wszystko prawda — ale.., jednak bohaterem tej powieści jest posłuszny Murzyn Tom.

Pani Harriet przypomina tu trochę dobrego lecz tchórzliwego fabrykan- ta Wilsona, który spotkawszy Jerze- go w czasie awanturkowej ucieczki na Północ woła:

„Jerzy, Jerzy nie mogę zgodzić się na twój postępek, c h o c i a ż - b y m t e g o p r a g n ą ł. P o - stępujesz przeciw prawu”.

Gdy w kilka lat później, w r. 1859 biały farmer ze stanu Kansas nazwi- skiem John Brown ze swym oddzia- łem zajął arsenał w Harpers Ferry, usiłując wzniecić powstanie niewolni- ków w Virginii i całym kraju — p. Wilson, a wraz z nim wielu innych p. Wilsonów, czy jak się tam oni róż- nie nazywali — pochwalal na pewno wyrok śmierci na Johna Browna i sześciu jego towarzyszy, „nie mogąc się pogodzić z postępkami „przeciwi- nym prawu” — zbrodniczymu prawu.

Rysując galerię typów „białych”, pani Beecher Stowe dała zarazem charakterystykę współczesnych pogl- ądów na sprawę niewolnictwa.

Poglądy ludzi takich jak okrutny handlarz niewolników Haley, niego- dziwy plantator Harris, nędzny Tom Loker i jego banda — wyraża najdo- sadniej opętany nienawiścią i strachem Szymon Legree:

„Tak zawsze postępują z Murzy- nami. Zaczynam od razu z całą energią; niech wiedzą co ich czeka. Nie chcę chorować na eleganckiego plantatora, który się wałęsa bez celu, nie wiedząc co robić i daje się oszukiwać dozorcóm. Spójrz- p a n n a m o j ą p i ę ś ć. U m i e m g r z m o t n ą ć g d y t r z e b a”.

Nie wszystkich jednak stać na tak brutalną szczerłość. To też sporo jest teorii „uspokajających sumienie”:

Pani St. Cl a i r: „Dobry nie- wolnik rzadko kiedy dostaje złego pana”. „Murzyn dopóty na coś się przyda, póki ma nad sobą pana; dać mu wolność a rzucić pracę, sta-

**Dokończenie ze str. 3**

nie się leniwym, rozpije się w koń- cu”.

„J e d n a z d a m” (na stat- ku): „Niewolnictwo ma także swo- je dodatnie strony. Bywałam czę- sto na Południu i przekonałam się, że tym ludziom lepiej w niewoli, niż na wolności. Nie potrafią oni sami myśleć o swoich potrzebach”.

Advokat O' C o n n o r (ale to już nie postać z powieści pani Har- riet) w przemówieniu na meetingu pod hasłem „Sprawiedliwość dla Po- łudnia” w Nowym Jorku dnia 19 gru- dnia 1859 r.:

„Now, gentlemen, natura sama przeznaczyła Murzyna do niewolni czego losu. Ma on siłę i krzepę do pracy; ale natura, która mu dała siłę, odmówiła mu rozumu do rzą- dzenia się i chęci do pracy. Brak mu obydwóch tych cech. I ta sama natura, która poskapiła mu chęci do pracy, dała mu pana, który tę chęć wymusi i zrobi z niego, w tym kli- macie, do którego jest on stworzo- ny, sługę pożytecznego i dla niego samego, i dla pana, który nim rzą- dzi. Sądzę, że nie jest żadną nie- sprawiedliwością pozostawić Mur- zyna w tej sytuacji, w jakiej postawiła go natura; dać mu pa- na, który nim rządzi; nie pozbawia się go żadnych praw, zmuszając, by pracował i oddawał swemu pa- nu sprawiedliwe wynagrodzenie za pracę i zdolności, których wymaga rządzenie nim i zrobienie go poży- tecznym dla samego siebie i dla społeczeństwa”.

To przemówienie O'Connora zosta- ło uwidocznione w III tomie „Kapita- łu” Marksa.

Najosobliwsze są jednak dla czy- telnika w sto lat po ukazaniu się książki pani Harriet — postaci „do- brych białych”.

Oto p. Shelby. Dobry pan. Ten do- bry pan sprzedaje najbardziej przy-

wiązanych, najbardziej ulubionych Murzynów, by ratować się od ruiny majątkowej. Cóż wobec tego znaczy rozbicie kochających się rodzin mu- rzyńskich, odebranie synka matce? A zresztą bogactwo pana Shelby i tak pochodzi z wyzysku niewolników.

Inny „dobry pan” — St. Clair. Bo- gacz. Pani Beecher Stowe wiernie, z małomieszczkańskim zachwytem ma- luje nam olśniewające bogactwo do- mu St. Clairów, na które pracują w pocie czoła setki niewolników na dale- kich plantacjach. Za to dla służby do mowej jest p. St. Clair, ku oburzeniu swej żony — „dobry”. Co prawda jest w tej dobroci duża domieszka po- gardy:

„Zdaje mi się — mówi St. Clair do dobrego wuja Toma, gdy ten wyratował jego córkę od niechybnej śmierci — że będę cię mógł użyć na stangreta, ale pamiętaj, pod tym jedynie warunkiem, że wolno ci się upić tylko dwa razy na ty- dzień, nie wliczając w to wypadków nadzwyczajnych”.

Specjalnością „dobrych białych” jest... nakłanianie Murzynów do po- słuszeństwa i wytrwania — przy po- mocy religii:

Fabrykant W i l s o n: „Jerzy, nie mów tak, proszę. Wszelkie cier- pienia na tej ziemi będą nam wy- nagrodzone w krainie, gdzie nie ma łez i smutku”.

E l i z a (żona Jerzego). „Pa- ni mówi, że co Bóg daje, to dla nas dobre, choćby nam się inaczej zdawało”.

Pani B e e c h e r - S t o w e: (o Tomie) „Ukochana Biblia uczy- ła go, jak ma być zadowolony w każdym położeniu”.

Trudno cpędzić się wrażeniu, że w ustach „dobrych białych” religia i bi- blia służą też przede wszystkim tym samym celom, co pięść Legree'go — uzyskaniu posłuszeństwa i podporzą- dowaniu Murzynów. Zbawienie duszy — to raczej produkt uboczny religij- ności niewolników.

Całkiem inną kategorię „białych” stanowią w powieści pani Harriet — drobni farmerzy, kwakrzy, ludzie ubodzy i prości. Oni to zamiast wymo- wnych rad udzielają Murzynom ucie- kającym na Północ schronienia i rea- lnej pomocy, nie zwracając większej uwagi na prawo obowiązujące wła- śnie od 1850 r. do wydawania zbie- głych z niewoli Murzynów. Jeśli idzie o „białych” — to właśnie drobni far- merzy byli najaktywniejszymi aboli- cjonistami, abolicjonistami wprowa- dzającymi swe przekonania w czyn. Farmerem był John Brown. Synem farmera był Abraham Lincoln. A gdy Abraham Lincoln został wybrany Prezydentem Stanów Zjednoczo- nych..

KRES NIEWOLI

...gdy Abraham Lincoln został wy- brany prezydentem Stanów Zjedno- czonych, stany południowe zerwały w r. 1861 unię, tworząc stany skonfe- derowane.

Wybuchła wojna Północy z Połu- dniem.

Wojna domowa lat 1861 — 1865. I wreszcie Murzyni mogli zaśpie- wać:

Hep! Hep!

We ain't slaves no more..

„Wojna była skończona; długa i krwawa, najdłuższa, jaką świat dotąd znał. Żołnierze w niebieskich mundurach odmaszerowali do do- mu. Ludzie w szarych mundurach, oszołomieni i pełni bólu, rzęgląda- li się dokła po swym kraju; zoba- czyli co niesie wojna.

W gmachu sądu w Appomattox generał Lee złożył broń. Wówczas skończyło się

A w gorącym południowym kra- ju cztery miliony czarnych ludzi uzyskało wyzwolenie.

Gdy wojna się skończyła, dwie- ście tysięcy czarnych ludzi pełniło służbę w wojsku republikańskim i wielu z nich powróciło do domu z bronią w rękę.

Jedni nadchodzili z zimnej Pół- nocy, dokąd udali się w poszuki- waniu wolności, inni nadciągali z szeregów Armii Związkowej; je- szcze inni przyszli z lasów sosno- wych i odludnych moczarów, gdzie się ukrywali.

Rozpoczęli na nowo życie, głębo- ko zdumieni, że są wolni”.

(Howard Fast — Droga do wol- ności — Prolog).

W dalekiej stolicy Stanów Zjedno- czonych uchwalona została poprawka do Konstytucji:

„Ani w Stanach Zjednoczonych, ani na obszarze im podległym nie będzie niewolnictwa ani pracy przymusowej, chyba jako kara za przestępstwo, wymierzona prawo- mocnym wyrokiem skazującym”.

W miastach stanów południowych stanęły zwycięskie wojska Północy, czuwając nad wprowadzeniem nowe- go przepisu konstytucji w życie. Zaczął się Reconstruction Period.

Ten okres do r. 1877 tzn. do wybo- ru Hayesa na Prezydenta Stanów Zjednoczonych i do wycofania wojsk północnych ze stanów Południa — to krótki okres faktycznego równoupra- wienia Murzynów, ich udział we władzach ustawodawczych stanów i w Kongresie Stanów Zjednoczonych.

A potem...

...potem wróciła stara niedola mu- rzyńska. W konstytucji pozostał no- wy artykuł, martwy artykuł — prze- kreślony w życiu. Dyskryminacja ra- sowa wróciła w całej pełni.

Gedeon Jackson tak uprzedza w po- wieści Howarda Fasta Prezydenta Granta — poprzednika Hayesa o tym, co nastąpi:

„Mówię panu, że tego dnia, w którym Ruthford B. Hayes obej- mie urządowanie, oddziały związ- kowe zostaną odwołane, a Klan wypłynie na powierzchnię. W tej czy innej formie wszędzie uderzy; wówczas rozwinie się terror, o ja- kim nasz kraj nie ma pojęcia; za- cznie się mord i zniszczenie, poż- ary i grabież, aż zniknie ostatni ślad demokracji stworzonej przez nas. Cofniemy się setki lat wstecz i przez całe przyszłe pokolenia lu- dzie będą cierpieć i ginąć”.

Gedeon Jackson zginął w domu podpalonym przez ludzi, którzy „kry- li twarze od słońca pod białymi kapturami”.

Zaczynał się nowy okres starej nie- doli. Okres, który trwa po dzień dzi- siejszy. Dawno już trawa porosła na zgłiszczach domu w Carwell, w któ- rym zginął Gedeon Jackson, ale krzy- wda Murzynów w Stanach Zjedno- czonych krwawi bez przerwy coraz to nowymi ranami. Sprawa dziewię- cciu ze Scottsboro, sprawa sześciu z Trenton, sprawa siedmiu z Martins- ville, sprawa Mc Gee, sprawa Peek- skill — to tylko najgłośniejsze z ty- sięcy spraw.

Ale nie! Nie ma tysięcy spraw. Jest jedna sprawa: sprawa godności człowieka, sprawa walki o sprawied- liwość, sprawa walki o ostateczne prze- zwyciężenie przesądów rasowych, których symbolem jest zhańbiony krzyż — płonący nieczystym ogniem krzyż Ku Klux Klanu i krzyż niena- wiści — swastyka.

Janusz Ostaszewski

## Paroksyzmy uleczalnej choroby

Aneksja Bośni i jej dalsze skutki do złudzenia przypominają Monachium ze wszystkimi jego następ- stwami. Piorunujące ultimatum, postawione po okresie letniej ciszy — i po żniwach! — spotkało Polskę tak samo, jak Serbię. Tam i tu sta- wiano żądania nie do przyjęcia i domagano się bezwzględnej ich ak- ceptacji — a zmierzano przy tym do unicestwienia zaceplonego pań- stwa w ogóle. Tak samo, głoszone tu i tam, że chodzi o „spór lokalny”, i że winę za wybuch powszechnej wojny ponoszą ci, którzy biorą w obronę napadniętego. Tak samo in- scenizowano „incydenty graniczne”. Tak samo udawano — jak Berlin w 1914 roku, tak Mussolini w roku 1939 — że chce się „pośre- dniczyć”, ażeby udaremnić rzeczywi- ste załagodzenie konfliktu już po pierwszych strzałach. Wreszcie tak samo — tylko nieco później — na- padnięto na Rosję, pod pozorem, że ta chce zaatakować Niemcy.

Najbardziej identyczny był tu i tam element parcia do wojny i żąd- zdy panowania nad światem za wszelką cenę.

..A DZIS

ŚWIATOWA polityka USA i Wielkiej Brytanii daje najwię- cej przykładów takich dążeń i po- dobnych metod.

Sytuacja dzisiejsza różni się jednak od tamtych obu o wiele bardziej jeszcze, niż one od siebie. Dzisiejszy obóz państw ludowo- demokratycznych pod przewodem ZSRR w niczym nie przypomina luź- nego Trójpriymierza o rozbieżnych

**Dokończenie ze str. 4**

interesach; stosunek ZSRR jako gwa- rantu suwerenności państw ludowo- demokratycznych różni się zaś bie- gunowo od gwarancji brytyjsko- francuskiej z roku 1939. Istnienie demokratycznego tworu państwowego w samych Niemczech, daleko idą- ce uświadomienie, otrzeźwienie poli- tyczne mas niemieckich — oto dal- sze elementy odmienne.

Wszelako elementy działania im- perialistów wykazują mniej zmian. Prowokowanie incydentów, miesza- nie się do spraw wewnętrznych in- nych państw, zapewnianie sobie „lo- jalności” i zakazów niechętnych wo- bec imperialistycznego partnera pro pagandy, inscenizowanie zająć i ma- nifestacji takich, jakie po zamachu w Sarajewie inscenizowała policja austriacka przeciw serbskiej ludno- ści, wmawianie w masy pracujące niebezpieczeństwa napaści z zew- nątrz, aby odwrócić ich uwagę od krzywd wewnątrz... Na terenie Nie- mieckiej Republiki Demokratycznej, narażonej na bezpośredni kontakt z działalnością kształconych w prus- kich Niemczech polityków z Bonn, widać najlepiej prowokacyjne me- tody polityki imperialistycznej. I pro- blematyka niemiecka jest też nie- wątpliwie — obok Dalekiego Wschodu — najwzdwżniejszym terenem nowej prowokacji wojennej.

Cele są także podobne: zagarnię- cie bogactw cudzych ziem, zdobycie sobie nowych rynków zbytu i no- wych mas ludzkich do pracy i wy-

zysku narodowo-społecznego, wszy- stko osłonięte pięknymi hasłami. Toć już cytowany wyżej miarodajny im- perialistyczny pisarz niemiecki chciał... wyzwać! Aż jej!

Dochodzi jednak do nich jeszcze jeden, nowy i niewątpliwie jeden z pierwszych w hierarchii ważności ce- lów kapitalistycznych — próba zgnięcia ogólno-swiatowego ruchu wyzwolenczego mas pracujących. Za czasów pierwszej Wojny Świa- towej — problem ten zarysował się już zupełnie wyraźnie w każdym społeczeństwie indywidualnie. W trakcie drugiej — nad kolejnymi walk dwóch imperializmów kapitali- stycznych ciążył już zdecydowanie dźwiwojący fakt obecności państwa Re- wolucyj Październikowej. Dział fakt istnienia obok Związku Radzieckie- go krajów demokracji ludowej, Chin Ludowych i Niemiec Demokratycz- nych, a wokół nich potężniejszej fali klasowych i kolonialnych ruchów wyzwoleniczych — poważnie przeo- braża oblicze rozgrywki o wojnę czy pokój.

Słabość obozu imperializmu prze- jawia się w tym właśnie, że technika prowokacji wojennej pozostaje nie zmieniona, podczas gdy warunki zmieniły się rewolucyjnie. Polityka państw socjalistycznych nie jest po- dobna do chwiejnych i dwulicowych pociągnięć rządów kapitalistycznych, a świadoma i rewolucyjna postawa mas nie przypomina w niczym ów- czesnych odruchów opinii publicz- nej.

Obóz Pokoju staje się coraz groź- niejszym przeciwnikiem Obozu Woj- ny



Józef SZCZAWIŃSKI

# Trzy nowe czasopisma

PRZEMIANY, którym nlega nasz teatr, wymagają odpowiedniej podbudowy teoretycznej. Polska literatura teatralna, opierająca się przeważnie na przykładach, nie jest zbyt obfita co utrudnia pracę zarówno teoretykom — jak i praktykom teatru i jest w dużej mierze przyczyną niezbyt świetnego stanu naszej dramaturgii i krytyki teatralnej. Dlatego też pojawienie się poważnego naukowego pisma, poświęconego zagadnieniom teatru i teatrolologii oceniamy jako duże wydarzenie kulturalne.

Ukazujący się od kilku miesięcy dwutygodnik „Teatr” ma przede wszystkim do spełnienia zadanie popularyzacyjne. Pozwala się bowiem zapoznać publiczności teatralnej z typem pracy współczesnego teatru, oraz z całokształtem tego, co się w naszym życiu teatralnym dzieje. Oczywiście pismo tego typu mogąc dostarczyć materiału do rozważań zarówno dla krytyki jak i historyka teatru, nie jest jednak w stanie, (i nie zakłada nawet tego) wypchnąć luk w naszej literaturze teatrolologicznej. Na tomie „Pamiętnik Teatralny” ma ambicję, jak wskazuje na to prospekt wydawnictwa, nie tylko uzupełnić istniejące braki naszej nauki o teatr, lecz również rozprowadzić ten dział wiedzy w skali odpowiadającej zapotrzebowaniu polskiego teatru.

O zamierzeniach wydawnictwa mówią wspomniany już prospekt, wyliczając reprezentowane w „Pamiętniku” działy, omawiając zarówno ogólną ideologię artystyczną, którą kierować się ma zespół, jak i szczegółowe koncepcje, dotyczące realizacji poszczególnych działów.

W nowym piśmie jak informują wydawcy, znajdują się następujące działy: historia dramatu i teatru polskiego od czasów najdawniejszych do najnowszych; historia dramatu i teatru starożytnego oraz zachodnio-europejskiego; historia dramatu i teatru rosyjskiego i radzieckiego; teoria i technika teatru, sztuki aktorskiej, inscenizacji i reżyserii, architektury teatralnej; archiwum do dziejów sceny polskiej; bibliografia, dokumentacja i krytyka współczesnej twórczości teatralnej, i wreszcie przegląd krytyczny bieżących wydawnictw teatrolologicznych, oraz przegląd najważniejszych wydarzeń teatralnych w kraju i zagranicą.

Tyle prospekt. Niemożliwą jest oczwę ście konfrontacja zamierzeń redakcji i ich realizacji, jak i pełna ocena wyników, na podstawie jednego tylko i to w dodatku pierwszego numeru pisma. Niemniej jednak staranność w opracowaniu pierwszego zeszytu może rokować optymistyczne nadzieje na przyszłość.

Czytelnika uderza przewaga materiału dotyczącego historii teatru, oraz fragmentów sztuk minionych epok. Przede wszystkim napotyknąmy szereg artykułów poświęconych Gogolowi, wyjątków z jego sztuk, oraz jego pióra rozważania o teatrze.

W omawianym numerze „Pamiętnika” do najcenniejszych prac z zakresu historii teatru należy niewątpliwie szkic Grzegorza Sinki „Wielkość i upadek realizmu w teatrze angielskim XVIII wieku”, wybiegający daleko poza ramy naukowego przyczynkarstwa i świetnie charakteryzujący nie tylko ówczesny teatr, lecz i obywatelstwo oraz stosunki społeczne tego okresu w Anglii.

Nieco mniej uwagi poświęcono zagadnieniom czysto teoretycznym. Problemy te znaleźć można w arty-

kułach historycznych, jak i w szkicu Ireny Schillerowej „Z literatury o K. S. Stanisławskim”. Natomiast dość dużo miejsca, i słusznie poświęcono dyskusji o krytyce teatralnej, dyskusji zapoczątkowanej w styczniu br. na posiedzeniu Sekcji Dramatu ZLP. Wydaje się jednak, że i tym razem, mimo szeregu ciekawych i postulatywnych wypowiedzi sprawa nadal pozostała nierozwiązana. Nie uczyni tego nawet bardzo ciekawy i operujący konkretnymi artykułami Konstanty Puzyry pod dobrze charakteryzującym przebieg dyskusji tytułem: „Bardzo dużo postulatów”. Być może, że wcześniej jeszcze na syntetyczną pracę podsumowującą wyniki toczącej się wciąż „rozprawy o krytyce” nie mniej artykuł taki powinniśmy wkrótce, to jest na przestrzeni kilku numerów „Pamiętnika”, otrzymać.

Pierwszy numer „Pamiętnika Teatralnego” wskazuje na pewne analogie (nie tylko w tytule i podtytule) z wznowionym po wojnie „Pamiętnikiem Literackim”. Wydaje się jednak, że pismo poświęcone nie tylko historii i krytyce — jak zaznaczono w podtytule lecz i teorii oraz technice teatru — jak mówi prospekt, powinno nieco w większym zakresie niż uczyniono to w pierwszym numerze, omawiać zagadnienia związane z teatrem współczesnym w oparciu oczywiście o najlepsze tradycje naszej i obcej teatrolologii.

STWORZENIE ze stolicy głównego ośrodka kulturalnego kraju, będące przejawem pewnej centralizacji kultury, mogło wzbudzić obawy zubożenia kulturalnego poszczególnych ośrodków regionalnych. Masowa wędrówka pisarzy do stolicy, która opustoszała przede wszystkim ośrodki nie posiadające zadawnionych tradycji literackich, sprawiło między innymi, że Warszawa stała się centrum naszych wydawnictw literackich. Spowodowało to mniej lub więcej uzasadnione żale pisarzy — członków pozostałych oddziałów Związku Literatów, którzy mieli często, z uwagi choćby na trudności techniczne w kontaktowaniu się z redakcjami, mniejsze możliwości publikacji swoich utworów w czasopiśmie literackim. Doty-

czyło to przede wszystkim pisarzy młodszych, mniej znanych, lub debiutujących. Hegemonie stolicy, trwająca lat kilka po zlikwidowaniu „Odry”, poznańskiego „Życia Literackiego”, „Arkony”, „Kamienia” przerwała ukazanie się „Życia Literackiego” (tym razem w Krakowie). Obecnie otrzymaliśmy dwa nowe czasopisma literackie, obydwa w formie kwartalników: debiutujący „Śląsk literacki” i wznowiona „Kamena”.

Pierwszy numer „Śląska literackiego” wskazuje na silne powiązanie redakcji z regionem, co przejawia się zarówno w doborze piór i tematów w części literackiej jak i w dziale informacyjnym i recenzyjnym pisma. Przeważa przede wszystkim pod względem jakości — proza. Opowiadanie Marii Klimas-Bła hutowej „Kamień róża” zwraca uwagę zarówno zwartą i konsekwentną konstrukcją utworu, plastycznością postaci, i prawdą psychologiczną, jak wyrażonym w pełni artystycznym problemem — niesprawiedliwości społecznej. Proza Włodzisław Grala „Cj z siódmego Oddziału”, interesująca z uwagi na temat dobrze rysująca ludzi i sytuację po śladą jednak dość zasadnicze braki w budowie utworu, niejasności w argumentacji, no i odpowiednią dozę deklaratywizmu. Mimo wielu usterek, dobrze zapowiada całość fragment powieści Mariana Kozłowski „Życie zaczyna się jutro”, a to z uwagi na ciekawy i aktualny problem.

Otwierający numer poemat Aleksandra Baumgartena „Zwykły dzień” nie należy do najlepszych utworów poety. Surowy patos utworu zatracą się miejscami, przechodząc w relacje suchą, stojącą już tylko na pograniczu poezji. Próba poetyckiego ujęcia wielości problemów związanych z życiem Śląska artystycznie zawodzi. O wiele lepiej wyraził w poetyckim kształcie, sprawy współczesnej wsi polskiej — Jan Baranowicz („Spółdzielnia nad jezioro”). Poemat nie posiada co prawda tej zwartości w budowie, co „Zwykły Dzień” jest raczej zbiorem poetyckich obrazów z wiejskiej spółdzielni produkcyjnej. Interesuje go różnorodnością form, dużym ładunkiem poetyckiego wzruszenia,

stawia go wyżej od pozostałych utworów numeru.

Jako zapowiedź traktować należy wiersze początkujących pisarzy ośrodka śląskiego, Leszka Miacha i Janusza Koniusza.

Essay Wilhelma Szewczyka o Karolu Miarce zbliża nam bardzo do stać pisarza, działacza i organizatora życia kulturalnego i politycznego Śląska w latach niewoli.

Dział informacyjny zapełniają obok recenzji książkowych i teatralnych, kalendarz kulturalny, omawiający aktualne wydarzenia kulturalne regionu śląskiego i sprawozdania z działalności oddziału ZLP.

WZNOWIONA niedawno w formie kwartalnika „Kamena” jako organ Oddziału Lubelskiego Związku Literatów posiada chlubne tradycje przede wszystkim jako czasopismo poetyckie, słynące jednocześnie ze świetnych przekładów.

Pierwszy numer wznowionej „Kameny” pod dawną redakcją Kazimierza Andrzeja Jaworskiego interesuje obok szeregu ciekawych artykułów przekładami utworów: Wiktor Hugo (Zbigniew Bienkowski), A. Żukowskiego, „Pieśniarz w obozie rosyjskich wojowników” (Anatol Stern), J. W. Goethego (St. Zarębski). Z oryginalną twórczością poetycką jest nieco gorzej, bo poza „Olimpiadą” K. A. Jaworskiego, w której łączy poeta echa i formę antycznej utworu ze współczesną problematyką, jak również poza wierszem A. Wolskiego „Kuznia” pozostałe utwory poetyckie odbiegają dość znacznie od osiągnięć w tej dziedzinie dawnej „Kameny”. Uderza natomiast w omawianym numerze brak prozy reprezentowanej wyłącznie przez ciekawy tematycznie fragment powieści historycznej Eugeniusza Gołębiowskiego „Kuznica Poniowska”.

Dobrze się stało, że redakcja „Kameny” nie ograniczyła się wyłącznie do utworów literackich i artykułów ściśle informacyjnych. Część publicystyczną pisma zapełnia popularnie ujęty artykuł Zbigniewa Bienkowskiego o Wiktorze Hugo, oraz bardzo aktualne dzisiaj rozważania Czesława Zgorzelskiego, „Uwagi o liryce Mickiewicza”. Najcenniej-

szą jednak pozycją tego działu będzie przedruk odczytu Jana Parandowskiego „O znaczeniu i godności tłumacza”.

Różnorodność tematyczna i problemowa numeru, doskonale przekładają świadczą, że nowa „Kamena” ma szansę zajęcia dość dużej pozycji wśród naszych czasopism społeczno-literackich. Należałoby tylko życzyć redakcji dopływu materiału poetyckiego, tej rangi, która była zazwyczaj reprezentowana w „Kamieniu” lat ubiegłych. Nie zapominajmy jednak, że oddział lubelski liczy zaledwie 20 członków, w tym kilku rzeczywistych. Wydawanie pisma, przy tak ilościowo niewielkim zapleczu pisarskim, jest sprawą na dłuższą metę dość trudną. Należy się więc zastanowić, (dotyczy to również „Śląska literackiego”) czy oparcie się wyłącznie na pisarzach miejscowych nie zaciąży na atrakcyjności pisma? Obydwa wspomniane tygodniki mają zarówno na celu zapoznanie czytelników z innymi dzielnicami polski z twórczością literacką regionu jak i dotarcie do odbiorcy miejscowego. Dlatego też celem pisma tego typu powinno być zarówno publikowanie utworów o tematyce specjalnie z danym regionem związanej, jak i zapoznanie miejscowego odbiorcy z najnowszą ogólnopolską twórczością literacką i kulturalną. Przyznajemy natomiast o czyste pierwsze miejsce piórom miejscowym, tym bardziej, że skargi pisarzy z prowincji na niechętnie otwierające się przed nimi drzwi niektórych redakcji stołecznych bywały często uzasadnione.

Śląsk, Lublin i Kraków posiadają już swoje czasopisma literackie. Istnieją jednak u nas tak żywotne i skupiające sporą grupkę pisarzy ośrodki, jak Poznań, Łódź, Wyrbże. Wydaje mi się, że szczególnie oddziały ZLP w Łodzi i na Wyrbże zarówno z uwagi na ich obfitą produkcję literacką jak i bogatą problematykę tkwiącą w życiu tych ośrodków, powinny się zdobyć na własne czasopisma.

Szcz.

Do historii niemal przeszło już owo boyowskie wydanie „Rozprawy o metodzie” z obiecującą nielada sensacją opaską: „tylko dla dorosłych”. W ten sposób nieustrudzony a przekorny tłumacz postanowił przemycić Kartezjusza do czytelników stroniących od poważnej lektury. Książka naturalnie rozeszła się przedko, rozchwytywana przez młodzież, ku niebawemu uciesze Boya, oraz filuternie uśmiechających się księgarzy, którzy wówczas orientowali się, co sprzedają. Wówczas — Tempora mutantur — dziś sytuacja się odwróciła. Bo właśnie PIW rozstał do „Domu Książki” nowe wydanie tejże „Rozprawy” (nie trzeba dodawać, że już bez opasek), wydanie staranne, ładne, w przyjemnym formacie; i teraz również książka cieszy się powodzeniem, również wśród młodzieży — z tą tylko zasadniczą różnicą, że teraz klient wie, co chce kupić, ma za to nieraz poważne kłopoty, nim porozumie się z ekspedientem — Zmiana — mamo wszystko — na lepsze, bo niedouczony ekspedient jeden, kilkunastu dziesiątki, ale kiedy się doczekamy, by czytelnik mógł w księgarni znaleźć świadomego, życzliwego doradcę? Księgarz taki — o ile już trzyma się przykładu Kartezjusza — powinien umieć chociażby poinformować, że obecne wydanie nie jest pierwszym powojennym, że obok stoi na półce „Rozprawa” tłumaczona przez Wandę Wojciechowską z nakładu Polskiej Akademii Umiejętności, że to samo dostojne i zasłużone wydawnictwo udostępniło dawniej „Medytacje o pierwszej filozofii”; jeśli zaś okaże się, że zainteresują kogoś klasyki filozofii, czyż ten wymarzony przez nas księgarz nie powinien mu podsunąć dostarczonego ostatnio przez PAU przekładu „Essai sur l'origine de connaissances humaines” osiemnastowiecznego sensualisty francuskiego, Comte'a?

Porzućmy jednak pytania retoryczne na rzecz krótkiej rejestracji ciekawszych spośród dostępnych obecnie tłumaczeń z literatury francuskiej, pozwalając sobie najwyżej na dygresję w formie dezynwoltur. Pierwszeństwo należy się Bibliotece Narodowej.

Coraz bardziej rozrastająca się „seria II” ostatnio chętnie wydaje

## AKTUALIA Księgarniane

komedie. Tak więc, po wznowieniach „Pociesznych wykwintnis”, „Świętoszka” i „Mizantropa” Moliera otrzymaliśmy dwie nowe cenne pozycje: Lesage'owskiego „Turcaret” czyli finansiste — również jeszcze w przekładzie Boya, oraz „Syna marnotrawnego” Woltera, który nie może ująć uwagi — zwłaszcza polonistów — ze względu na świetne tłumaczenie Stanisława Trembeckiego, które poprzedził doskonałym wstępem dr Jerzy Adamski. — Należy chyba oczekiwać, że teraz przyjdzie kolej na Beaumarchais, który jakże by się przydał w rzetelnym opracowaniu, na jakie stać zawsze Bibliotekę Narodową. — Odnosić także należy nieco dawniejszą, ale ogromną przynajmniej, którą zrobiło nam też wydawnictwo „Maksymami i rozważaniami moralnymi” La Rochefoucaulda, lecz zarazem chciałoby się wspomnieć, że warto odczytać stare, dobre tradycje staffowskiego „Symposionu” i wydać nareszcie La Bruyere'a, „Maksymy” Chamforta (pokrzywdzone przez Boya, który wolał „Charaktery i anegdoty”), skoro zaś obracamy się już w kręgu moralistów — zasługiwałby chyba na udostępnienie, najsympatyczniejszą może z nich wszystkich, młodzieńki przyjaciel Woltera — Vaucargues choćby tylko ze swoimi „Uwagami i myślami”.

Przyznać trzeba, że i wydawnictwa nie mające ambicji naukowych dzielnie dotrzymują kroku Bibliotece Narodowej w upowszechnianiu klasyków literatury francuskiej. Oto na przykład wznowiony przez „Książkę i Wiedzę” „Gil Blas” Lesage'a w tłumaczeniu Juliana Rogozińskiego, „Czytelnik” zaś chwali się słusznie przełożoną ostatnio przez Jarosława Iwaszkiewicza „Kariera wieśniaka” Piotra Mariavaux. Pisarz ten, znany u nas przeważnie tylko ze swych komedii góruje nad autorem „Diabła kulawego” sztuką portretowania typów, stosuje już bowiem analizę psychologiczną bo-

haterów. — Ze wznowień trzeba dalej zauważyć drugi tom powłastek filozoficznych Woltera („Tak toczy się świat”) — brak natomiast Diderota, w Warszawie przynajmniej wyczerpanego.

Balzac reprezentowany jest ostatnio dwoma dobrymi tomami: wznowieniem „Kurateli” (opowiadania) oraz nowym przekładem „Listów dwóch młodych mężatek”, dokonany przez Rogozińskiego. Jak dowiedzieć się można ze wstępu dr Maciejka Żuroskiego — jak zwykle krótkiego i dobrego — „Lsty”, choć mniej znane niż inne utwory tego pisarza, krytyka balzakowska ceną bardzo wysoko; faktem zaś jest, że sam Balzac wysunął je na czoło pierwszego wydania „Komedii ludzkiej”. — Z Flauberta wznowiono „Trzy opowieści” w przekładzie Rogozińskiego, można jeszcze dostać „Salammbo” oraz „Bouvard i Pecuchet” — dotkliwie natomiast odczuwa się brak wyczerpanej „Pani Bovary”. — pod literą „M” dostawiono na półkach młodzieńcy utwor dramatyczny Prospera Merimee — „Zakerie”, ozdobioną pięknymi drzeworytami Hiszpańskiej; o popularności autora „Carmen” niech świadczy to, że drugie powojenne wydanie tomu jego nowel już się prawie rozeszło. — Inny klasyk noweli, bardziej jeszcze znany Maurassant doczekał się zasłużonego wznowienia tomiku pod wspólnym tytułem „Włóczęga”. — Czołowy naturalista francuski, Emil Zola, ma wśród naszych nowych pozycji bibliograficznych „Rzym” (dlaczego skrócono?), „W matni” („L'Assommoir”) oraz „Wszystko dla pań” — utwór specjalnie interesujący, gdyż budzi pewne asocjacje z „Lalką” Prusa. — Wśród cennych nowości na uwagę zasługują dostępne już w całości trylogia Jules Vallés'a — „Jakub Vingtras”. Ciekawą postacią komunistą zajmował się już u nas Boy, dzieła jego wszakże nie zdążył przetłumaczyć. Zrobił to wspaniale jego obecny następca w dziedzinie przekładów — wspomniany tu kilkakrotnie Julian Rogoziński. — Po-

zycie wreszcie niewątpliwie potrzebne i nadzwyczaj popularne to „Kapitan Fracasse” Teofila Gautiera (szkoda, że — choć wydany w „Naszej Księgarni” — tekst jest skrócony; „dla młodzieży”, co za niemądry zwyczaj!) oraz trzy książki Dumasa — ojca: „Hrabia Monte Christo”, „Trzej muszkieterowie” i „Dwadzieścia lat później”.

Zamykając pobieżny przegląd wydań klasyków XIX wieku, z żalem spostrzegamy brak Stendhala. Wydanie zbiorowe pod redakcją Jana Kotta utknęło jakoś — niestety — na „Pusielni Parmeńskiej”.)

Ze znakomitych nazwisk późniejszych — ma u nas powidzenie Roman Rolland; łatwo dostrzec na półkach okładki „Jana Krzysztofa” i „Duszy zaszarowanej”, świeżo zaś PIW wznowił „Colas Breugnon”. Jeszcze bardziej cieszy wznowienie pierwszego tomu „Rodziny Thibault” R. M. du Gard'a, tak, że znowu można dostać całość tej pasjonującej powieści.

Kończąc — wypada stwierdzić, że działalność naszych instytucji wydawniczych na odcinku przekładów z klasycznej literatury francuskiej musi budzić żywe zadowolenie. Tym bardziej więc dziwi fakt, iż dotąd nie zainteresowano się o „Próby” Montaigne'a, których na próżno od lat siedmiu oczekujemy. To jest chyba największa bolączka. Trzeba będzie również pomyśleć o nowym wydaniu Rabelais'go; czytelnicy tłumaczonej na polski pracy Jawniny chętnie odwołują się do studium do tekstu. Życzyć by też sobie należało większego ożywienia w tłumaczeniu pisarzy współczesnych: nawet przekład „Komunistów” Aragona postępuje w nieco zółwim tempie. Dawno też obiecano nam książkowe wydanie „Abelarda i Heloizy” Vaillanda, publikowanego przez Kotta w „Zeszytach Wrocławskich”. Przydałoby się ono, bo radzibyśmy zobaczyć utwór na scenie, a nie wiem czy do teatrów dociera świetny kwartalnik redagowany przez prof. Mikulskiego, bo ukazuje się on tak nieregularnie...

1) Już po wysłaniu felietonu do druku ukazały się „Kroniki włoskie”; jak to świetnie!

**NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!**  
ANDRZEJ ŁEPKOWSKI  
**LUDZIE ZNAD ZATOKI**  
Powieść  
Cena Zł 15. —  
Wysła Biuro Sprzedaży spółki wydawniczej „PAX”, Warszawa, Mokotowska 43 po wpłaceniu należności na konto P.K.O. Nr. 1 8515.



# Wiek XVIII na scenach warszawskich

**D**EDYKUJĄC „Fircyka w zalotach“ Stanisławowi Augustowi Zabłocki zaznaczał, że nowa komedia służyć ma wyjątkowo rozrywce i zabawie. A jednak w tej doskonałej psychologicznej sztuce, posłużył się autorem zasadą bardzo charak-

bezpieczeństwem zagubienia najbardziej istotnych cech jej języka. Bardzo staranna reżyseria Bohdana Korzeniewskiego i Jacka Woźniczera przede wszystkim wydobyla najbardziej dla twórczości Zabłockiego charakterystyczne

zapominać o amoralności poglądów i postępowania wesołka. Ten typ postępowania, co dobrze i dyskretnie zaznaczył Wołłejko jest również wynikiem wpływu otoczenia. Fircyk jest więc produktem określonego społecznie i czasowo środowiska, nie mniej predyspozycje wrodzone musiały zaciążyć na jego charakterze i postępowaniu. Do brze się więc stało, że Wołłejko, który krzywdził tekst nieco przez zbyt dużą błyskotliwość gry w akcie I, odpowiednio wypowiadał i akcentował fragmenty tekstu mówiące o właściwym morale Fircyka.

Fircyk — Wołłejki, podobnie jak Fircyk — Zabłockiego, to wytwór rozkładającego się już rokokowego towarzystwa, to bujny lecz przyjemnie kwitnący chwast na łące ówczesnego społeczeństwa

**W**OLŁEJKO, to artysta o dużej wszechstronności aktorskiej, szkoda tylko że wachlarz jego roli nie jest zbyt bogaty. Może w tej niewielkiej różnorodności, której przyczyną niebezpieczeństwa łatwych choć jednocześnie sztucznych zagrań, tak charakterystycznych dla aktorów wyposażonych we wszelkie walory cenne dla ich zawodu.

Nie twierdzą, że niebezpieczeństwo przerostu rutyny jest już udziałem Wołłejki — aktora odznaczonego nagrodą państwową za świetną kreację w filmie o Chopinie, nie mniej pewne charakterystyczne a zbyt często powtarzające się chwytaki aktorskie nogą wzbudzić niepokój.

Hanna Skarżanka w roli Podstoliny kontrastuje z Fircykiem Wołłejki zarówno typem postaci jak i typem gry. Staranność w oddaniu tekstu, czasem zbyt pieczołowity doń stosunek, opanowanie, przez które przebijają uczucie, to najbardziej charakterystyczne cechy tej interpretacji aktorskiej. Najlepszą bywa artystka w scenach lirycznych, w których uczucie Podstoliny bierze górę nad rozsądkiem doświadczony życiowo wdowy. Natomiast trudno doszukać się w Podstolinie Skarżanki porcji komizmu przydzielonej jej przez autora.

Nie poskąpił komediopisarz, śmieszność Arystowi, reprezentującemu światek modnej szlachty polskiej Brak charakteru i pizerstwo, ślamazarstwo i grubiaństwo, to wady nie tylko dyskredytujące, lecz przede wszystkim ośmieszające tego w gruncie rzeczy niezłego człowieka.

Rolę Arysty doskonale odtworzył Andrzej Szczepkowski, świetny zarówno w mimice i geście jak i w całej sylwetce. Śmieszność tej postaci dobrze wydobyla przez aktora trafnie podkreślając komediowość przedstawienia.

Postacie sługusów to ciężki orzech do zgryzienia dla komentatorów i recenzentów zbyt pochopnie zachwytujących się sarmatyzmem komedii i typowością postaci i sytuacji. Jak wiemy bowiem powierzenie sługom prowadzenia intrygi utworu nie było cechą komedii polskiej, nie było również dla stosunków naszych typowe. Oczywiście postacie te spolszczyły w miarę możliwości inscenizatorzy. Dotyczy to przede wszystkim Pustaka, którego rezonerstwo, stosunek do swego pana, „maćkowatość“ są bardzo rodzimego chowu. Pustaka doskonale zagrał Józef Nowak, wydobylając zarówno wspomniane cechy jak i podkreślając grą problem moralny zawarty w stosunku pana do sługi.

Typ bezcelnego i oblatanego we wszystkich szelostkach sługusa to Świstak Janusza Bylczyńskiego. Artysta nie był niestety do tej ro-

li dobrany zbyt szczęśliwie, dlatego pokazał nam Świstaka raczej jako współkompana awanturniczego poszukiwacza przygód — nie tylko bujarowaty — a przeciw Fircyk bynajmniej do szpady się nie kwapił, a więc i junactwo jego służącego niczym nie było uzasadnione.

Klarysa w interpretacji Krystyny Miecikówny to sprytna i wesoła osobka z polskiego zaścianka, znająca trochę świat i ludzi lecz nieco zabiękaną w sfrancuziały półświatek. Odświeżenie tekstu przez taką interpretację roli Klarysy dodało jednak wielu scenom (epizod z fircykiem) dużo specyficznego uroku.

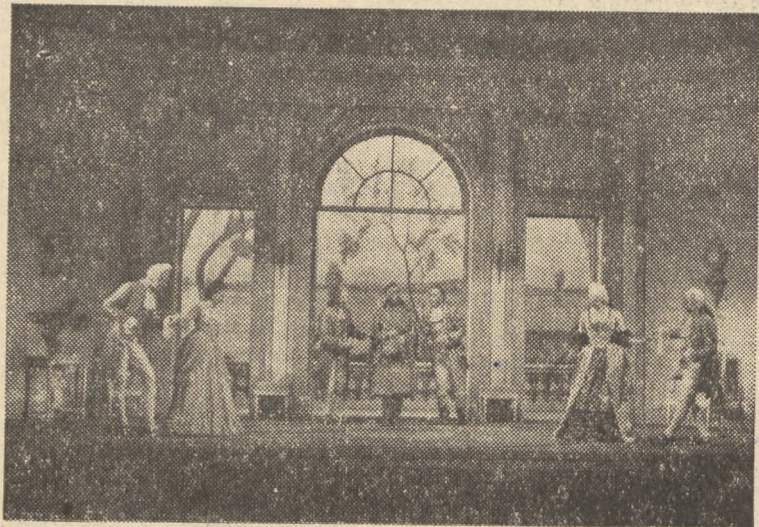
Inszenizacja „Fircyka w zalotach“ nie umiejętowo zbyt silnie akcji komedii w epoce i środowisku i moim zdaniem słusznie. Nie zrobił tego bowiem i Zabłocki mimo pewnej aktualizacji typów i sytuacji. Podkreślał to kosmopolityzm postaci, którego ośmieszenie leżało w zamiarach autora.

Z reżyserami współdziałał ściśle scenograf (Romuald Nowicki). Rozwiązanie przestrzenne sceny, zrezygnowanie z rokokowych szczegółów i szczegółików na rzecz w jednym

ką naszej historii i kultury, niż utworem, którego najbardziej nawet staranna inscenizacja, postawić by mogła na jednym poziomie z dziełami wiecznie żywymi.

Dodanie jednoaktówki W Bogusławskiego „W dowód wdzięczności narodu“ — pozbawionej już dziś istotnych walorów scenicznych, miało na celu nadanie całości charakteru widowiskowego, oraz zaprezentowanie widzowi nastrojów panujących w okresie ogłoszenia Konstytucji 3 Maja. Reżyserstwo, opracowanie jednoaktówki było słabsze niż przygotowanie komedii Niemcewicza. Raziły pewne niedociągnięcia w operowaniu tłumem na scenie. Również słabo wypadł śpiew i choreografia.

Z pośród kreacji aktorskich wybiła się doskonała w typie Feliks Chmurkowski (starosta Gałdułski). Niestety bohaterowie pozytywni: Pan Podkomorzy, Pani Podkomorzyna, Walery, wypadli o wiele słabiej. Dublując rolę Walerego Jan Świdawski zagrał ją dość bezbarwnie, żywością postaci przewyższa go Szarmancki, co zresztą wynika z tekstu. Świdawski doskonały jest je-



Państwowy Teatr Narodowy w W-wie. „Fircyk w zalotach“ F. Zabłockiego. Scena zbiorowa z III aktu.

fol. C.O.P.A.

terystyczną dla ówczesnej, odradzającej się dramaturgii polskiej, zasadą wywodzącą się jeszcze od Moliera — ridendo castigare mores (śmiejemy naprawiać obyczaje). Oczywiście śmiech musi być szczerzy, dialog wartki, komedia nie nudna.

„Fircyk w zalotach“ jest właściwie przeróbką sztuki Romagnésiego „Le petit — maitre amoureux“, odbiega jednak od swego pierwowzoru, mimo dostosowania się Zabłockiego do twardych kanonów polityki francuskiej. W oparciu o fabułę komedii Romagnésiego, stworzył nasz komediopisarz rzecz odbiegającą od oryginału zarówno zawartością problematyczną jak i przeniesieniem akcji w środowisko, sfrancuziałej polskiej szlachty. Jak wiadomo środowisko to stanowiło niejednokrotnie konglomerat lokalnego polityzmu ze snobizującym kosmopolityzmem przybrany we francuskie szatki, co oczywiście musiało być zaznaczone i w inscenizacji.

Problem moralny pokazany jest w „Fircyku“ bardzo dyskretnie, po przez wyrazisty rysunek poszczególnych postaci, zróżnicowanie typów, skonstruowanie sytuacji scenicznych — jednym słowem tkwi on w artystycznym zrelacjonowaniu wycinka ówczesnej rzeczywistości a w wypowiedziach od autorów skłóconych w usta bohaterów sztuki. Co więcej, troskliwie oddawę psychologiczną czyni tytułową postać komedii nie tylko śmieszna lub godna potępienia lecz i sympatyczna. Widz odkrywa w Fircyku żarzące się węgielki uczucia, choć autor pozwala nam się domyślać, że gaśnie ono bardzo szybko i bohater komedii puści się znów na piętke a błotniste wody erotycznych podbojów.

Inszenizacja „Fircyka w zalotach“ na deskach Teatru Narodowego bardzo starannie i troskliwie oddająca koncepcję autora, poszła jednocześnie po linii zbliżenia komedii współczesnemu widzowi. Realizatorzy mieli do pokonania dość zasadniczą trudność. Położenie głównego nacisku na staranne oddanie tekstu, ustąpiło by akcją czyniąc komedię dla współczesnego widza nieco zbyt nużącą. Natomiast silne zdynamizowanie akcji i przeprowadzenie pewnych skrótów w tekście zbliżyć może komedię Zabłockiego pod względem scenicznym lecz jednocześnie grozi nie-

fragmenty tekstu, w pełni zaznaczając mistrzowskie przeprowadzenie dialogów i ich inteligentną błyskotliwość. Przydało to dużo wdzięku przedstawieniu, podobnie jak bardzo staranne wyreżyserowanie szczegółów. Walory tekstu łączą się bowiem u autora „Sarmatyzmu“ z umiejętnością plastycznego budowania poszczególnych sytuacji scenicznych co stwarza możliwość popisu dla aktora i reżyserów. Te świetne scenki zostały przez reżyserów pierwszorzędnie rozwiązane. Tekst często ustępował w nich doskonałym epizodom pantomimicznym (scena gry w karty), lub stał się podbudową dla bardziej plastycznych elementów gry aktorskiej, jak ruch, gestykulacja, mimika.

We wspomnianej już scenie karcianej udało się realizatorom stworzyć doskonałą plastycznie i różnicowaną pod względem typów



Państwowy Teatr Narodowy w W-wie. „Fircyk w zalotach“ F. Zabłockiego. Czesław Wołłejko w roli Fircyka.

fol. C.O.P.A.

grupę. Zdynamizowanie akcji w tej scenie nie zaszkodziło przy tym doskonale przeprowadzonemu dialogowi.

Fircyk — ów bażant XVIII wieku, stokrój jednak od współczesnego i skretyniałego bażanta inteligentniejszy (wypadł w interpretacji Wołłejki bardzo żywo, plastycznie i nąógół zgodnie z intencjami autora. Bywa, szczęśliwy kochanek Podstoliny, postacią nie tylko śmieszna lecz i sympatyczną. Nie mniej, i tu tekst wyjaśnia sytuację, nie można



Państwowy Teatr Kameralny w W-wie. „Powrót posła“ J. Ursyn Niemcewicza — scena zbiorowa

fol. C.O.P.A.

tonie utrzymywanego tła, dobra podbudowa kolorystyczna, którą stanowiły dekoracje dla zróżnicowanych lecz nie przejaskrawionych w kolorze kostiumów, — to wszystko zwiększyło jeszcze wrażenie wywołane przez bardzo staranną i ciekawą reżyserię.

Dokładne i drobiazgowo wypracowanie przez reżyserów poszczególnych scen (tak charakterystyczne dla reżyserii Bohdana Korzeniewskiego) nie rozładowujące jednak ogólnej koncepcji inszenizacyjnej, stworzyło w sumie przedstawienie zarówno barwne, żywe i rozweselające, jak i dyskretnie, lecz dobitnie pokazujące problemy moralne i społeczne zawarte w utworze...

Pamiętacie ostatni gest Pustaka, pełen złechęcenia i obrzydzenia, odkrywający istotę sielankowego zakończenia sztuki. Ten gest więcej mówi o komedii Zabłockiego niż potok słów i kadzle atramentu.

Wiele tendencji moralizatorskie komedii Zabłockiego przyproszone zostały solidną warstwą humoru, o tyle niemcewiczowski „Powrót posła“ jest komedią na wskroś publicystyczną i tendencyjną. Szlachetność tej tendencji, ważność i wielość problemów zawartych w sztuce, upoważnia do wystawiania jej i dziś mimo, iż inne walory dramaturgiczne nie wytrzymały próby czasu. „Powrót posła“ jest raczej dla współczesnego widza ciekawym dokumentem czasu, zapoznającym go z pewną epo-

dyne w chwili gdy wybucha gniewem oburzonego egoizmem i tępotą polityczną Starosty.

Niezbędny podobał trudnej roli Podkomorzego Józef Maliszewski. Doskonali w charakterze postaci, nie wybrań z tyrań narzuconych mu przez autora. Niestety gest i dykcja również zawiodła zupełnie.

Bardzo miło odtworzyła rolę szlachcianeczki Teresy Halina Mikołajska, dobra przede wszystkim w geście i w rysunku podobnie jak skonstruowana z nią Agata — Renaty Kosobudzkiej, przypominająca dziewczęta z komedii Goldoniego.

Czesław Kalinowski wyraźnie zarysował morale kreowanej postaci, zatracając naprawdę fircykowość i ogładę Szarmanckiego. Łowca posagów i łatwych zdobyczy, ma wiele cech wspólnych z Fircykiem (choćby stosunek do ojca), niemniej jest typem o wiele bardziej ujemnym. Uwypuklenie tych antypatycznych cech Szarmanckiego zmniejsza jego śmieszność, lecz czyni tę postać bardziej odrażającą, na pierwszy plan wysuwając problem moralny i społeczny ówczesnej złotej młodzieży.

Dekoracje i kostiumy — Zenobuza Strzeleckiego (ta ostatnie zresztą bardzo ładne) nie zostały dostatecznie z sobą zharmonizowane.

A na zakończenie mała dygresja. Jak widzimy kłopoty z bohaterem pozytywnym nie datują się od dziś, miewał je i Niemcewicz, choć zapewne nie przejmował się tym bardzo. Inne czasy, inna epoka, inne konwencje. (Szcz)